Stron 12 Oplata pocztowa uiszczona ryczałtem.

Cena 20 zł.

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok V · Łódź, 30 maja 1948 r. · Nr 22 (151)

W NUMERZE
między innymi:

Dyzma Gałaj

EWOLUCJA LUDOWCA

(Od „Wsi i Państwa" do gospodarstwa spółdzielczego) *)

NARODZINY „WSI I PAŃSTWA"

PROF. dr Fr. Bujak, doc. dr St. Inglot i doc. dr W. Styś wydali w styczniu 1938 r. pierwszy numer miesięcznika „Wieś i Państwo". Ukazuje się on we Lwowie i jest „poświęcony sprawom wsi". Przeczytajmy artykuł wstępny „Od wydawnictwa". Oto fragmenty: „Bolejąc nad tym smutnym stanem rzeczy (niski poziom życia na wsi — przyp. mój — D. G.) postanowiliśmy wezwać do współpracy wszystkich tych, którzy poczuwając się do odpowiedzialności



Wincenty Styś

za losy Polski, chcą i umieją pracować dla jej potęgi i przyszłości, **przede wszystkim zaś tych,** którzy wyszli ze wsi, **którzy tam pozostawili rodziców i krewnych,** którzy więc powinni się starać najusilniej, aby na tej wsi było inaczej, lepiej, coraz lepiej".

Inny fragment: **„Nie wywieszamy żadnego sztandaru politycznego.** Chcemy pracować dla dobra wsi i drobnego rolnictwa, a przez to dla dobra państwa i narodu".

Następny: „Chodzi tutaj o program w zakresie ustroju rolnego, produkcji rolniczej, o program w zakresie wszystkich innych dziedzin życia gospodarczego, społecznego i kulturalnego z punktu widzenia wsi, o stanowisko wsi w stosunku do ustroju państwowego, działalności władz państwowych i zasadniczych zjawisk życia politycznego. Pismo nasze będzie poświęcone **tworzeniu i uzasadnieniu programu wsi polskiej we wszystkich kierunkach** oraz obmyśleniu metod pracy nad rozwojem wsi".

„W sprawach wsi **nie widzimy konieczności pryncypalnego radykalizmu,** raczej jesteśmy zwolennikami celowego realizmu".

„Nie będziemy się nigdy wahali **potępić** bezwzględnie rzeczy **sprzeczne z moralnością, praworządnością, godnością i dobrem wsi".**

„Pismo nasze ma więc odegrać rolę ogniwa pośredniego **pomiędzy teorią a praktyką,** pomiędzy poznaniem naukowym, a zastosowaniem jego wyników w życiu, bo wtedy działalność praktyczna oparta będzie na szerszym doświadczeniu, a więc będzie racjonalniejsza i skuteczniejsza".

Wśród takich nazwisk napotkanych w spisie współpracowników rocznika 1938, jak ks. W. Bliziński, W. Bronikowski, W. Bryja, Fr. Bujak, Cornateanu (Rumunia), Dresler Vaclav (Praga), Garbacik, Gruca, St. Inglot, M. Jagła, Wł. Kiernik, K. L. Koniński, Laur Ernest (Szwajcaria), St. Pigoń, J. Sondel, St. Szczotka, figuruje również nazwisko W. Stysia.

Obok artykułów dotyczących istotnie prawie wszystkich zagadnień życia wsi (od artykułu „Szukamy dróg poprawy" ks. Blizińskiego, przez artykuły Bryji, Bujaka, Inglota, przez filozofię, historię, etnografię, socjologię i ekonomię zespolone nieraz elementami jakiejś przedziwnej wspólnoty w postawie metodologicznej głównych współpracowników pisma, do opracowań zagranicznych „wielkich synów wsi", takich choćby, jak Ernest Laur) trafił się również artykuł W. Stysia pt. „Rolnictwo a uprzemysłowienie". Na 31 rozpraw i referatów, czy artykułów w roczniku 1938 z zakresu „spraw społecznych i politycznych", 6 dotyczących „spraw gospodarczych", 7 z „zagadnień rolnych", 11 ze „spraw włościańskich i rolnych w innych państwach", 7 ze „spółdzielczości", 30 z „oświaty i kultury", 4 „zdrowotności", 3 „prawa", 4 „obrony Państwa", 10 „działaczy społeczno-politycznych", 10 „inteligencji - chłopów" i 4 referujące sprawy różnych czasopism, znajdujemy jedną jedyną poważniejszą rozprawę traktującą o kwestii **uprzemysłowienia wsi.** Wymowy tego faktu nie złagodzi okoliczność, że spotykamy tu recenzje książek: K. Czerniewskiego — „Maszyny i narzędzia rolnicze w gospodarstwach mniejszych własności", J. Orynżyny — „Przemysł ludowy w Polsce", J. i S. Reychmanów — „Przemysł wiejski na Podhalu" i F. Witulskiej-Szyszko „Elektryfikacja wsi". Ciekawe, że oprócz książki J. i S. Reychmanów recenzentem pozostałych jest W. Styś.

PERYFERIE „WSI I PAŃSTWA" I ICH NASTĘPSTWA

Zagadnienia uprzemysłowienia wsi były zatem w tym czasie w zespole redaktorów i współpracowników „Wsi i Państwa" domeną W. Stysia. On to próbował przez swoją rozprawę w pierwszym numerze miesięcznika pokazać „wykształconym synom wsi" główny problem mający zdecydować o przyszłym życiu wsi, chciał wyjaśnić przyczynę aktualnego stanu i (zapewne) wytyczyć drogę tak dla wsi, jak dla pisma i grupującego się przy nim zespołu tzw. inteligencji ludowej.

Na podstawie rozpoznania wspomnianego wyżej rocznika wpływu tych wskazówek, niestety nie widać. Nie jest to jednak dziwne, gdyż lwowsko-krakowska grupa inteligencji ludowej żyła tymi tradycjami kulturowymi, które nie zezwalały na porównywanie wykutej przez domorosłego kowala motyki z „Odą do młodości", lub Beethovenowskiej Symfonii z traktorem. I dlatego oni „tworzyli" we „Wsi i Państwie" sobie, a W. Styś sobie. Wynikiem tego tworzenia jest po 1944 roku zajęcie przez miesięcznik pozycji „Okopów św. Trójcy" i ostateczny upadek pisma, „nie wywieszającego (rzekomo) żadnego sztandaru politycznego", znajdującego się „pomiędzy teorią i praktyką" i nie widzącego w 1938 r. „konieczności pryncypalnego radykalizmu", oraz „potępiającego bezwzględnie rzeczy sprzeczne z moralnością, praworządnością godnością i dobrem wsi".

Z drugiej strony wynikiem prac W. Stysia jest wydana w 1947 roku książka pt. „Drogi postępu gospodarczego wsi".

PROBLEMATYKA KSIĄŻKI PROF. W. STYSIA

Problem wyjaśniający tytuł książki zawarty jest w pytaniach postawionych przez autora w przedmowie: „Co na wsi polskiej wzrasta szybciej: **ludność czy środki utrzymania? Jak było z tym dotychczas i jakie są** perspektywy na przyszłość?" W tak postawionych pytaniach widać wyraźnie ambicję wyliczenia ilościowych różnic w wyścigu rozwojowym ludności z jednej strony, a środków utrzymania tej ludności z drugiej. Po odpowiedź wyjaśniającą tę sprawę idzie W. Styś do Husowa — jednej ze wsi powiatu łańcuckiego. Pracuje tam kilka lat. Bada źródła historyczne, stosuje ankiety, prowadzi wywiady. Dokonuje pracy żmudnej, gruntownej i przekonywującej wynikami.

Rozpatrując wyścig między przyrostem ludności i środkami utrzymania prof. Styś dla okresu między 1787—1937 r. wyprowadza następujące liczby: wskaźnik wzrostu ludności w tym czasie wynosi 309, wskaźnik wzrostu czterech głównych zbóż (po dokonaniu zasiewów) — 923, a inwentarza żywego 318. Wzrost środków utrzymania wyraża się zatem w stosunku do wzrostu ludności wskaźnikiem +311.

Wykazanie tej rozwojowej proporcji jest pierwszym naukowym osiągnięciem pracy. Ale ów suchy stosunek liczbowy absolutnie nie wystarcza do przedstawienia całego skomplikowanego procesu rozwoju postępu na wsi. Stopniowe i kolejne odkrycia w powyższym temacie badań są bardzo interesujące. Oto kilka z nich: tempo rozdrabniania się gospodarstw wzrasta wybitnie po zniesieniu poddaństwa i uwłaszczeniu chłopów. Jest to okres rozkwitu pełnego indywidualizmu na wsi i względnie szybkiego postępu w rolnictwie. Posiadanie kawałka ziemi jest wtedy b. atrakcyjne i stąd notujemy liczne podziały gospodarstw. Cechami tymi zaznaczał się wpływ kapitalizmu na rolnictwo. I wpływ ten dokonał „całkowitej odmiany charakteru naszej struktury rolnej w ostatnich kilkudziesięciu latach", co autor traktuje, jako drugie, ważne odkrycie w tym przedmiocie.

Trzecim interesującym zagadnieniem jest zjawisko wyrównywania się gospodarstw. Tworzą je dwa warunki: 1) chętne nabywanie ziemi przez husowskich chłopów i 2) stosunkowo większa ilość dzieci u gospodarzy bogatszych przyczynia się do częstych podziałów tych gospodarstw. Drugi warunek likwiduje duże gospodarstwa, a pierwszy małe. Diagram 1a i 1b (str. 102) przedstawiający liczbę gospodarstw różnej wielkości w latach 1787, 1851 i 1937, oraz zajętą w tych latach przez te same gospodarstwa powierzchnię ziemi ma kształt foremnej piramidy. Podstawę w 1787 stanowią gospodarstwa duże — kmiece. Wierzchołek zajmują chałupnicy. W r. 1837 rysunek przedstawiający stan posiadania ziemi przez husowskie gospodarstwa ma kształt piramidy postawionej wierzchołkiem w dół. Jest to pełne odwrócenie obrazu z 1787 r. Nie ma gospodarstw dużych i średnich, a są tylko drobne o przeciętnej wielkości 2.34 ha. Zjawisko to ma rzekomo zaprzeczać marksistowskim poglądom dotyczącym prawa o koncentracji kapitału w rolnictwie.

Obraz Husowa przedstawiony jest jako naprawdę tragiczny. Wszechstronna nędza i (w 1938 r.) żadnych widoków poprawy.

A oto wnioski wynikające z analizy historycznego rozwoju ustroju rolnego wsi Husów:

1) — należy rozparcelować wielką własność;

2) — zmienić strukturę społeczno-gospodarczą Polski zezwalającą na emigrację ludzi zbędnych ze wsi do miast;

3) — wprowadzić technizację i intensyfikację gospodarstw;

4) wprowadzić spółdzielcze formy gospodarowania.

TRAFNY RACHUNEK

Prof. Styś, śledząc rozwój Husowa, dochodzi słusznie do wniosku, że coś z tym ustrojem rolnym trzeba zrobić, bo inaczej będzie tragedia. Nie mobilizuje pochodzącej stamtąd inteligencji do walki o poprawę bytu „pozostawionych na wsi ich rodziców i krewnych", nie martwi się o polityczny osąd jego pracy, nie zapowiada na wstępie zasady „pryncypalnego radykalizmu", ani „celowego realizmu", ale stwierdza fakty. Fakty te rysują obraz wymagający bezwzględnie naprawy i projekt tej naprawy widzimy. A więc (w 1938 r.) parcelacja wielkiej własności. Oczywiście. Ale to mało, boć 8 milionów bezrobotnych na wsi nie uzyska wystarczającej ilości ziemi, a choćby ją uzyskało to przy ówczesnej sytuacji społeczno - gospodarczej zabraknie jej za lat kilkanaście, czy kilkadziesiąt. Zatem nie trzeba żałować malejącej ilościowo warstwy chłopskiej, ale dać możność systematycznego odpływania ludziom zbędnym ze wsi do miast. Kiedy to będzie możliwe? Jasne, że przy zmianie struktury gospodarczej z rolniczej na przemysłowo - rolniczą. Ale i to jeszcze mało. Trzeba zwrócić uwagę na produkcję rolną. Nie motyczki, nie sochy, woły, czy nawet konie, a nawozy, maszyny. Te właśnie elementy pomogą zwyciężyć w wyścigu między wzrostem ludności, a wzrostem środków utrzymania.

Wprowadzenie ich do naszych gospodarstw nie jest jednak rzeczą łatwą. Brak jest i maszyn i środków na ich kupno. Jest tylko jedno w tej sprawie wyjście — spółdzielcze formy gospodarowania.

To są główne myśli w książce prof. Stysia. W swej ogólnej tendencji słuszne i tym bardziej pozytywnie określające autora, że swój rodowód naukowo-społeczny wywodzi on z mistyczno-idealistycznego środowiska krakowskich ludowców z Bujakiem i Pigoniem na czele. Ale sprawę tak widzimy patrząc zgrubsza. Przy wglądzie szczegółowym ideologiczne naloty „Wsi i Państwa" są wyraźne.

ECHA „WSI I PAŃSTWA"

Rzekomy brak potwierdzenia tezy o koncentracji kapitału w rolnictwie.

Prof. Styś wykazuje proces „wyrównywania się" gospodarstw. Wyrównywanie to przyjęło taki obraz, że w r. 1787 były w Husowie 153 gospodarstwa, a w 1937 — 645. Przeciętna wielkość wahała się w 1937 od 1,5 do 3 ha. Średnich i dużych gospodarstw nie ma. I dlatego „wieś tutejsza (mowa o Husowie — D. G.) jest prawie bezklasową społecznością o dużej spojstości wewnętrznej" (str. 250). I dlatego w rolnictwie nie sprawdza się marksistowska teza dotycząca prawa koncentracji kapitału. Nie ma bowiem w Husowie kułaków i wyzutych z ziemi bezrolnych.

---

*) Drogi postępu gospodarczego wsi — Wincenty Styś.

Jan Maria Gisges

NA TARGU

**Kiedyś poszedłem na targ zwany miejskim,
gdzie pomieszały się pojęcia głodu
i sytości. Stragany — malowane kreski —
otaczał nimb gołębi i młody
promień tak, jak pędzel mistrza
wykańczał obraz, jako łza najczystsza.**

**Wpoprzek kopytem koń tłumy rozcina,
fiolet i czerwień odsłaniają błękit,
pod którym zgiełk kupczących jest jak ślina
padająca z pyska na przegub hamującej ręki.
Obok dziewczynka gaśnie nad rynsztokiem
anemiczna, póki słońce jej nie dotknie wzrokiem.**

**Rynku ozdobą, jakby na odpuście,
są prawdy kształtów dziewcząt wsi pobliskich,
na których zawisł cień i wzrok: nim uśnie
złoży na wargach wiosnę i jak śliskie
wiosła zagłębi się w matowe barwy,
skąd powróci zmieniony, podobny do larwy.**

**Chłopka odlana w wełnie samodziału
o twarzy starszej niż wiedza stuleci
sprzedaje jaja. Z nich powstanie
szczęście, co z myślą przeleci
ku szpitalowi, gdzie syn chory spoczywa.**

O wiosno! U dna twego jak radość przebywam.

Czyżby we właściwej ocenie tego problemu przeszkodziły prof. Stysiowi echa „Wsi i Państwa" z 1938 r.? Szczególnie to echo, które stosunki między inteligencją pochodzenia wiejskiego, a wsią kładło na płaszczyznę związków rodzinno-familijnych („którzy tam (na wsi) pozostawili rodziców i krewnych"). Bo przecież nie sposób obserwować Husowa — rodzinnej wsi autora — jako wyizolowanej grupy społecznej o specyficznym wewnętrznym układzie. Zresztą zupełnie co innego zakładu autor na początku. Rozwój Husowa dokonywał się przecież w związku z szerszymi procesami społeczno-gospodarczymi. A więc pańszczyźniana i popańszczyźniana wieś, nasz rodzimy, szlachecki dwór, miasto, zagranica, przemysł krajowy. Rozwój ustroju rolnego i związane z nim perturbacje społeczne można rozpatrywać tylko w tym kontekście. I wtedy, jeśli zobaczymy w Husowie proces „wyrównywania się gospodarstw" i brak różnic między bogatszymi i biedniejszymy (choć trudno w to uwierzyć z racji posiadania i nie posiadania przez nich koni, — cyt. „Szczególnie trudną jest sytuacja gospodarstw niesprzężajnych, które obciążone są bardzo kosztami robocizny ciągłej, a jednak często nie mają wykonanych robót we właściwej porze i z należytą starannością" — str. 256) dojdziemy do wniosku, że nie świadczy to o braku potwierdzenia marksistowskiej tezy, ale o jej pełnym podtrzymaniu. Bo przecież Husów i jemu podobne wsie są tylko **fragmentem sprawy agrarnej w Polsce.** Fragmentem ogólnego układu gospodarstw, dającego się ująć trójpostaciowo: 1) wielka własność, 2) biedniejąca stale średnia własność i 3) własność sproletaryzowana. I jeśli problem ten rozpatrzymy w tej płaszczyźnie (a w innej rozpatrywać go nie możemy), to koncentracji kapitału doszukiwać się nie będziemy w gospodarstwie Gargały, Boratena, Hawry, czy Stysia w Husowie, ale spójrzmy w stronę Łańcuta, Szczawnicy, na Stadnickich, Potockich i im podobnych. Zobaczymy wtedy jak wygląda problem najemnej siły roboczej w tych majątkach, zobaczymy wkłady inwestycyjne, zobaczymy uczestniczenie i sposób korzystania z kredytowego systemu. Porównamy wielką własność z średnią i proletariacką. Wtedy zobaczymy właściwy obraz Husowa, który, po gruntownych badaniach historycznych przeprowadzonych właśnie przez prof. Stysia, wbrew jego woli, udowadnia nam tezę o koncentracji kapitału również i w rolnictwie, oraz proces proletaryzowania się społeczności wiejskiej Husowa, a prawdopodobnie i innych wsi w południowej Polsce. I wtedy zdanie mówiące o bezklasowości społecznej i dużej spoistości wewnętrznej Husowian będzie miało zupełnie inny wydźwięk i sens.

Zindywidualizowane gospodarstwa a gospodarowanie spółdzielcze.

Prof. Styś jest za gospodarowaniem spółdzielczym. Proponował tę formę jeszcze przed wojną husowskim wiciarzom i realizuje ją obecnie na Ziemiach Odzyskanych w spółdzielniach parcelacyjno - osadniczych. Jest to stanowisko słuszne i konsekwentnie wynikające ze stanowiska naukowca-działacza, który wykrył specyficzne tendencje rozwojowe ustroju rolnego szczególnie w południowej Polsce. Dlaczego zatem gospodarowanie spółdzielcze?

1) — bo tragiczny proces rozdrabniania się gospodarstw przyporządkowany jest m.in. przerostowi indywidualizmu w rodzinach chłopskich;

2) — bo intensywność gospodarowania może być spowodowana stosowaniem racjonalnego płodozmianu i mechanicznej uprawy. Warunki te ze względu na wielkie rozdrobnienie gospodarstw i nędzę spełnione zostaną tylko przy gospodarowaniu spółdzielczym;

3) — bo przy gospodarowaniu spółdzielczym może być stosowana jak najbardziej ekonomiczna organizacja pracy.

Zawarte w powyższych trzech punktach przyczyny spowodują gruntowne zmiany na wsi. To jest istota koncepcji gospodarstw spółdzielczych. Na taką koncepcję nikt z zespołu „Wsi i Państwa" poza W. Stysiem zdobyć by się nie umiał. Fakt ten notujemy z całą satysfakcją. Ale jawią się tu szczegóły, które przeszkadzają prof. Stysiowi. Jak tu bowiem rozstrzygnąć kwestię rodziny i gospodarstwa jednorodzinnego z jednej i spółdzielczych form z drugiej strony? Wszystko przemawia za spółdzielczością, ale przecież i gospodarowanie indywidualno - rodzinne ma swoje walory: „gospodarstwo to nie potrzebuje ani żmudnego i skomplikowanego planowania, ani zawiłej księgowości, ani sprawozdań statystycznych, ani rygorystycznej dyscypliny wśród pracowników. Na gospodarza, jego żonę i dzieci nie trzeba dzwonić jak na fornali i najemników dniówkowych na folwarku, nie trzeba też stawiać nad nimi dozorców, gdy pracują na odległych parcelach w polu. Są oni tak dalece zainteresowani w rozkwicie gospodarstwa stanowiącego ich wspólną rodzinną własność, że zawsze i wszędzie dokładają starania, by rozkwit ten zabezpieczyć". (Drogi postępu gospodarczego wsi, str. 257).

Tu już wyraźnie znać wpływ środowiska agrarystów. Chodzi bowiem o kult rodziny wiejskiej w jej **tradycyjnym uwarunkowaniu z rodzinno-sąsiedzką więzią** grupy parafialnej, zaraz za tym, czuje się święty związek z ziemią, z przyrodą, a jeszcze krok dalej i mielibyśmy strach przed „niewspółmiernym rozwojem techniki i moralności", co byłoby świetnym zaprzeczeniem naukowego dorobku autora. Obawy przed żmudnym i skomplikowanym planowaniem, zawiłą księgowością, sprawozdaniami statystycznymi, czy pogwałceniem liberalnego zachowywania się gospodarza-chłopa nie są przecież konsekwencją generalnego stanowiska prof. Stysia odnośnie ewolucji ustroju rolnego w Polsce. Nędza chłopska w znacznej mierze wynikała z „sielanki" braków wyżej wyszczególnionych elementów, a w spółdzielczym gospodarowaniu te elementy muszą zaistnieć, co wcale nie będzie równoznaczne z likwidacją rodziny. Dostrzeżemy natomiast likwidację wielu tradycyjnych postaw zindywidualizowanych rodzin w ramach kultury ludowej.



Zastosowanie techniki w rolnictwie, oraz spółdzielczych form gospodarowania spowoduje gruntowne przeobrażenia społecznej struktury wsi. Technikę w produkcji rolnej ocenia prof. J. Chałasiński następująco: „Oznacza to między innymi upodobnienie wsi do miasta pod pewnym zasadniczym względem: rodzina i sąsiedztwo przestają być wyłączną podstawą całej organizacji społecznej. Przewagę zaczyna zdobywać element młody, nierodzinny — elitą stają się młodzi kawalerowie traktorzyści i panny traktorzystki, którzy usuwają w cień stateczną elitę rodzinnych kmieci. Równocześnie celowe formy organizacji ekonomicznych, społecznych i politycznych, tworzone w dążeniu do określonych celów, zastępują tradycyjne formy rodziny i sąsiedzkiego współżycia i bytowania — (Społeczeństwo i wychowanie, str. 31).

Zatem tradycyjna funkcja rodziny przy zastosowaniu nowych form i narzędzi gospodarowania utrzymać się żadną miarą nie da. Więź rodzinno-sąsiedzka i dworsko-parafialna przekształcać się będzie w społeczny związek z gminą (ośrodki maszynowe, kulturalne, polityczne itp.), miastem, narodem i całą ludzkością. I to jest właśnie konsekwencja głównego stanowiska prof. Stysia, niepotrzebnie zagmatwana niepokojami o dotychczasową rolę i obraz tradycyjnej rodziny chłopskiej.

DALSZE ECHA

Prof. Styś widzi konieczność zmian w społecznej strukturze Polski, ale pisze, że „przesuwanie ludności z rolnictwa do innych zawodów niekoniecznie musi oznaczać zbyt daleko idącą urbanizację" (str. 261). Dlaczego nie? Sądzę, że obawy przed urbanizacją naszej wsi przez wiele jeszcze dziesiątków lat nie mogą istnieć. Ani „groźby ataków z powietrza", ani „dolegliwości społeczne" wielkich miast nie powinny nas przy aktualnym stanie ekonomicznym i społecznym przerażać. A niechże zatem proces ten oznacza jak najdalej idącą urbanizację, byle prędzej, byle masowo. Pomoże to nam w produkcji traktorów, samochodów, kombajnów, młocarń, silników, sztucznych nawozów, teatrów, kin, bibliotek, szkół itd. To może być powodem tylko optymizmu, a nie ostrożności i pesymizmu, tak jak w pesymistyczny nastrój nie powinno nas wprowadzać rzekome istnienie w kwestii wydajności gleby tzw. prawa minimum sformułowanego przez Liebiga, a któremu jego kontynuatorowie (m. i. dr Sondel współpracownik „Wsi i Państwa") nadali następującą postać: „największy plon jest osiągalny przy średniej (optymalnej) ilości czynnika".

Przy najmniejszej i największej ilości czynnika plon jest nieosiągalny (równy zeru), czyli „każdy następny dodatek równej ilości danego czynnika powoduje nie równy, lecz zmniejszający się efekt".

Prof. Styś przytacza to prawo, przewidując w przyszłości osiągnięcie ograniczonego maksimum w produkcji rolnej. To jest niesłuszne. Pod pewnym również tylko względem słuszne jest prawo Liebiga. W tym wypadku jest mianowicie słuszne, jeżeli robimy doświadczenia przy wzroście rośliny z jednym tylko potrzebnym jej do życia czynnikiem np. z wodą. Wiemy jednak, że wzrost rośliny jest uwarunkowany całym szeregiem różnych czynników i ich wzajemna interferencja powoduje, że „złowieszcza krzywa spadającej urodzajności prostuje się, a plony zaczynają wzrastać nie tylko wprost, ale i więcej niż proporcjonalnie w stosunku do każdego następnego dodatku czynnika. Prawo zmniejszającej się wydajności przekształca się w prawo zwiększającej się wydajności w prowo postępu rolniczego, limitowanego jedynie zasięgiem wiedzy" (Nowe Drogi, Nr 8 A. Brzoza — „Przeciwko kompleksowi niższości w rolnictwie" str. 41). I dlatego pesymizm w sprawach wydajności gleby jest nieuzasadniony.

OD „WSI I PAŃSTWA" DO SPÓŁDZIELNI PARCELACYJNO-OSADNICZYCH I WILCZKOWIC

Rodowód naukowo - społecznego działania prof. Stysia sięga środowiska krakowsko-lwowskiego w ogóle, a „Wsi i Państwa" w szczególności. Panująca tu wiara agrarystyczna ciąży w pewnym sensie na działalności prof. Stysia jeszcze i dziś, mimo, że zasadnicza, generalna postawa wobec zagadnień rolnych jest zupełnie inna. Drobne odblaski miesięcznika dla „inteligencji ludowej" notujemy w książce „Drogi postępu gospodarczego wsi", ale praktyczne działanie Profesora — organizacja spółdzielni parcelacyjno-osadniczych na Ziemiach Odzyskanych, jak również projekt doświadczalnej wsi Wilczkowice wykazuje zajęcie pozycji b. dalekiej od myśli wstępnego artykułu z „Wsi i Państwa" z 1938 r., jak również od obowiązujących tam ideologicznych tendencji.

Dyzma Gałaj

Listy polityczne

POLITYKA MORALNOŚCI

Mój drogi!

Coraz częściej dochodzę do wniosku, że dobrze jest czytać encykliki papieskie. Zwłaszcza, gdy chce się je porównywać z aktualnymi wydarzeniami politycznymi. Tak np. Leon XIII pisał kiedyś w swojej encyklice „Rerum novarum", że nie tylko państwo i kościół, ale również klasy posiadające mają moralny obowiązek wspomagania robotników z chwilą, gdy znajdują się oni w złej sytuacji materialnej. Z tego wynikała teza następna: robotnik winien był wiernie, posłusznie, bez strajków i bez rewolucji pracować na rzecz kapitalisty, aby zwiększona nadwartość pracy mogła dać pracodawcy większą możliwość wspomożenia robotnika. W tej słusznej trosce o dobro robotnika kościół zaczął popierać faszyzm tam, gdzie on powstawał: we Włoszech, w Hiszpanii, Portugalii. W Albanii kler katolicki był agenturą szpiegowską faszystowskich Włoch. (Oficjalne wypowiedzi głosiły, że kościół, aczkolwiek stoi poza polityką, tym niemniej popiera ustroje. oparte na zasadach zgodnych z doktryną etyczną katolicyzmu). Wszędzie, gdzie tylko się dało, Chrześcijańskie Związki Zawodowe łamały strajki, osłabiały rewolucyjną postawę proletariatu i za wszelką cenę nie dopuszczały do zjednoczenia wszystkich robotników we wspólnych Związkach Zawodowych (w zasadzie Związki Zawodowe miały zakreślony przez papieża zasięg zainteresowań wyłącznie na sprawy ekonomiczne; miały stać zdala od sporów politycznych). Tam, gdzie powstały korporacjonistyczne Zw. Zaw. (Niemcy, Włochy) Watykan poleca wiernym branie w nich udziału, celem zwalczania zgubnych dla duszy wpływów marksistowskich i krzewienia ideologii katolickiej. — (A pamiętaj, mój drogi, że to wszystko dla dobra robotnika, przy pełnym poszanowaniu obowiązującego postulatu apolityczności, jedynie w obronie przed sprowadzeniem robotnika na złą drogę). Dziwne rzeczy jednak zdarzały się tam, gdzie robotnik wolał inną drogą poprawiać swój byt, niż poprzez zwiększanie zarobków fabrykanta i w związku z tym mogło wyniknąć pewne niebezpieczeństwo. Tam w nadmiarze wysiłków zapomniano niekiedy, nawet o zachowaniu pozorów apolityczności i subsydiowano obficie partię Chrześcijańsko - Demokratyczną, przewielebni ojcowie brali udział w nadużyciach wyborczych i t. p.

Mark Twain w nowojorskim piśmie „Sun" podaje następujący autentyczny wypadek: niejaki Ament, misjonarz chrześcijański, zdobył w Chinach posiadłość. W posiadłości tej pracowało 700 robotników chińskich. Ament ubezpieczył się w ten sposób, że w wypadku śmierci pracownika, amerykańskie towarzystwo ubezpieczeniowe wypłacało mu 300 taelów. Następnie podczas powstania bokserów w Chinach spreparował sytuację tak, że zabito mu 300 robotników, za których otrzymał przewidziane sumy. Część otrzymanej sumy przeznaczył na misje katolickie. Widzisz więc sam, że etyka katolicka była stosowana przez Mr Amenta z konsekwencją zabójczą. Dusze tych, którzy zginęli dla dobra misji chrześcijańskich, musiały być eo ipso zbawione, ich zaś śmierć przyczyniła się poza tym do zbawienia tych, którzy zostali nawróceni na skutek zwiększonych możliwości finansowych misji.

Wiesz, mój drogi, że z etyką katolicką nie jest dobrze. Np. oklepana sprawa inkwizycji. Kościół twierdzi, że rządzi się moralnością ponadczasową. Inkwizycję mógłby jeszcze ostatecznie usprawiedliwić jakiś relatywistyczny system moralny przez stwierdzenie, że inkwizytorzy rządzili się zespołem obowiązujących w danym okresie historycznym norm moralnych; nie mogła jej usprawiedliwić w żadnym wypadku doktryna katolicka, sprzeczna z jej poczynaniami w punktach zasadniczych (zwłaszcza przy założeniu niezmienności tej doktryny). Teraz, gdy kościół popiera faszyzm, nie może go usprawiedliwić nawet ocena relatywistyczna; etyka katolicka bowiem w obecnej fazie rozwojowej nie ma nic wspólnego z etyką faszystowską; zaś ciąg postępowania moralnego od inkwizycji do faszyzmu wykazuje zabójczą konsekwencję w przestrzeganiu dziesięciorga przykazań.

Podczas powstania warszawskiego kardynał Hlond zwrócił się do papieża z prośbą o błogosławieństwo dla powstańców. Papież odpowiedział, że chętnie udzieli błogosławieństwa narodowi polskiemu. Te mistrzowskie metody perfidii dyplomatycznej nie były jednak stosowane, kiedy chodziło o błogosławieństwo dla ochotniczych brygad zdrajców i opryszków, ściągniętych przez Niemców z wielu podbitych i faszystowskich państw Europy do walki ze Związkiem Radzieckim. Kiedy ze Związkiem Radzieckim walczyli Niemcy, niemieccy księża przeprowadzali akcję germanizacyjną na ziemiach polskich. Kiedy do wojny z Rosją podżega Ameryka, włoski kler współpracuje z amerykańskim wywiadem politycznym, aby nie dopuścić ludu włoskiego do władzy, a papież kwestionuje prawa Polski do Ziem Odzyskanych i staje w obronie biednych, uciskanych Niemców. Tak Watykan uczy nas prawdy głębokiej, że są tylko dwie siły na świecie.

Twój Witold.

P. S. Namów twoją młodzież, niech na mój list odpowiedzą. Niech przemyślą i sprawdzą moje zarzuty.

W OSTATNIM NUMERZE 20—21 (149—150) z dnia 23 maja 1948 r.

Alina Nofer

Od „Lata" do „Szekspira"

Adolf Rudnicki, który w 1932 r. „wjechał do literatury na „Szczurach" (wg. wyrażenia Irzykowskiego zacytowanego z jego przedmowy do „Drobiazgów i profilów żołnierskich"), wzbudził już wtedy nadzieje na pisarza społecznego. Odstępstwem od tej linii była „Niekochana" — „powieść o miłości opętanej, nieszczęśliwej, a jednak pięknej", wyrosła na pożywkach Freuda i Prousta, jak twierdzi Piwiński (Rocznik Literacki 1937). Nie znam niestety ani „Szczurów", ani „Niekochanej" — autor nie postarał się dotąd o ich wznowienie—przedwojenna więc twórczość Rudnickiego zamyka się z konieczności na „Żołnierzach", „Lecie" oraz „Profilach i drobiazgach żołnierskich", „zabłąkana w dziedzinie reportażu czy felietonu" (Irzykowski).



Adolf Rudnicki

„Lato" przypada na rok 1933. Po dwóch pierwszych powieściach i „Żołnierzach", (często także do powieści zaliczanych) jest to próba nowej konstrukcji świata, konstrukcji, którą Rudnicki powtórzy w „Profilach" i której przezwyciężenie będzie nosiło nazwę „Szekspir". „Lato" jest zbiorem spostrzeżeń i uwag związanych ściśle z pobytem narratora w Kazimierzu, miasteczku nad Wisłą, ale wbrew oczekiwaniom autor najmniej mówi o starych domach, niebie i drzewach, stałych akcesoriach wakacyjnych wspomnień. „Lato" jest przede wszystkim książką o ludziach. Podział mieszkańców na autochtonów i przyjezdnych, jaki przeprowadza autor tylko pozornie nie ma nic wspólnego z podziałem klasowym. Po stronie autochtonów bowiem znajdują się rybacy, żebrzące Żydówki i mały gazeciarz Sztajer, subiektka Klara i staruszka Weronika żyjąca na łaskawym chlebie, ludzie, którym daleko do średniego choćby stanu posiadania. Miasteczko nad Wisłą narzuciło im pewien los bez perspektyw na przyszłość, bez możności awansu. Pomimo niewątpliwie różnych rodowodów społecznych są zrównani w swym wegetatywnym, biernym istnieniu, które ożywia się tylko w okresie lata, w okresie najazdu kuracjuszy, stanowiących dodatkowe źródło dochodu. Grupa przyjezdnych to artyści i lekarze, mieszczaństwo wzbogacone i zachłanne na rozrywki, ludzie, których stać na kupowanie krajobrazów i powietrza w Kazimierzu. Między stałymi mieszkańcami i przybyszami z miast wznosi się ściana obojętności. Dwa obce światy nieprzenikające się wzajem, obce, jeśli nie wrogie. Oto jak opisuje Rudnicki jeden z domków, który skrywa największą nędzę pracujących ponad siły, kalekich dzieci i bezsilnie lamentującej matki. „Malarz nie spuszczał oka z krzyczącej matki, chwilę: jeszcze chwilę w tej samej pozycji". Bolesna, żywa nędza jest dla przybyszów z miasta tylko motywem malarskim. W innym miejscu tonie kąpiący się człowiek. Obok rybak miejscowy czatuje na pstrągi. „Znajdował się o dziesięć metrów od ofiary, która raz jeden wypłynęła. Ale mu pstrążka szkoda było; więc na letniaka machnął ręką". Działa tu proste prawo odwetu — obcość za obcość. Autor powstrzymuje się od komentarzy — fakty zacytowane mają dostateczną wymowę. Wskazują dystans, jaki dzieli człowieka od człowieka z dwóch różnych środowisk. W swojej przechadzce po Kazimierzu narrator wychwytuje ludzi i zjawiska, jak kolekcjoner, który gromadzi eksponaty do zbioru. Oto stoi przed nami rybak Jan, „który pozostawiony sam sobie na wyspie radziłby sobie lepiej od miliona mieszczuchów", a który nie ma żadnego wyobrażenia o swojej wartości. Wszyscy są od niego lepsi — żona, aptekarz i notariusz, których zalicza do szlachty. Sam jest chłopem i to decyduje o jego niższości. Pochodzenie jest dla niego kalectwem, urazem nie do przezwyciężenia, decyduje o jego niepotrzebnym życiu.

Oto gazeciarz Sztajer „skazany na bierne przypatrywanie się wszystkiemu co piękne, zdaleka od źródeł żywego życia", „wszystko dlatego, że w rzeczywistości, w której żył, nie było dla niego miejsca". Chyba, że pan burmistrz wsadzi go do aresztu, gdy będzie tego wymagała jego polityka w stosunku do miejscowych hotelarzy.

Ale narrator „Lata" z równym zainteresowaniem opisuje brzydotę brata Klary, jak i rozmowy dziewcząt o snach. „Niezależnie od tego, czy wymaga korektury społecznej, etycznej czy jej nie wymaga, wszelkie zjawisko bywa ciekawe samo w sobie" — pisze Rudnicki i to stwierdzenie określa jego sposób przedstawiania rzeczywistości w drobnych szkicach „Lata" Rudnicki poprzestaje tu na ukazywaniu zjawisk bez podania ich przyczyn, bez wyraźnej odautorskiej oceny, bez przewidywania skutków, które za sobą pociągną.

Zaobserwowanych zjawisk nie wiąże on w określony system, nie łączy z sytuacją społeczno - polityczną, nie szuka przyczyn, nie oskarża. „Lato" jest prozą spostrzeżeń i odkryć, a nie tłumaczeniem, nie interpretacją. Narrator cofnięty w cień nie przesącza faktów przez pryzmat własnej opinii, stara się o swoiście pojęty obiektywizm przy relacjonowaniu wydarzeń. Jest to proza materiałowa, zbiór fragmentów rzeczywistości, mówiący o zaciekłości badawczej autora, ale niewiele jeszcze o jego światopoglądzie.

Już w „Lecie" wykazywał Rudnicki szczególną wrażliwość na sprawy żydowskie. W okresie, kiedy antysemityzm równoważył się z pojęciem patriotyzmu, nie było łatwo stawać w obronie narodu, który „oddawna zasłużył sobie na łaskawy chleb ludzkości". A Rudnicki nie tylko przez problemy żydowskie ściągał na siebie gromy opinii. „Są tematy, którym pan powinien dać spokój. — Jakie to tematy? — Wojsko i Żydzi. A pan, jak nie o jednym to o drugim. Zgubiony człowiek". Taką rozmowę z wydawcą przytacza autor w powojennej przedmowie do „Drobiazgów i profilów żołnierskich", wydanych po raz pierwszy w 1939. Miał już wtedy za sobą „Lato", gdzie zbyt wiele pisał o Żydach, miał wydanych w 1933 r. „Żołnierzy", obie pozycje nie świadczyły o prawomyślności pisarza. — Rudnicki miał sporo kłopotów z wydaniem „Drobiazgów".

„Żołnierzy", nazwał sam autor wyzwaniem rzuconym sferom wojskowym. Jest to utwór pisany z pasją pamiętnikarza — sprawozdawcy. Temat rozsadza jego ramy tak, że autor nie troszczy się o rozplanowanie materiału, o spokojne zamknięcie go w rozdziałach, o dokładne wyznaczenie czasu wydarzeń, o hierarchię przedstawionych wypadków. Dzieje się tam wszystko niemal jednocześnie, fakty wybiegają poza swą kolejność.

Wojsko stało się dla Rudnickiego terenem rozważań nad ludźmi, nad zbiorowością wywierającą na jednostkę szczególny wpływ, nad systemem wychowawczym, który mógłby dać doskonałe wyniki, gdyby nie był oparty na fałszywych metodach. „Żołnierze" to przede wszystkim tropienie błędów, które popełnia zwierzchnik w stosunku do podległego mu rekruta, wykrywanie krzywd, jakie wyrządza bezduszny rygor ludziom obdarzonym wszystkimi zadatkami na dobrych żołnierzy, dobrych kolegów. Narrator nie występuje w obronie jednostki, dla podtrzymania w niej psychicznej odrębności. „Skoro wszystko opiera się na rozkazie, musi istnieć gotowość wykonania go bez szemrania. Ale to nie jest stan normalny. Co innego, gdyby ludzi zlano w kolektywy, gdyby mocą nowych warunków i nowych dążeń starano się przerobić charaktery — osłabić pewne cechy, uwypuklić inne, dodatnie — jednostki i wówczas ucierpiałyby, ale cel możeby te cierpienia okupił". Takimi uwagami przesycona jest tkanka „Żołnierzy". Wybiegają one daleko poza koszary, poza rygorystyczny system wojskowej organizacji, — wojsko staje się pretekstem do snucia rozważań o życiu zbiorowym, gdzie wychowanoby nowych ludzi, nowe społeczeństwa, nowy świat. „Świat, ludzkość, jako dzieło sztuki, czy może być wyższe marzenie?".

Podobnie w „Drobiazgach i profilach żołnierskich" autor z satysfakcją podkreśla wartość organizacji, w której „doły życia cywilnego zaraz pierwszego dnia zostają zasypane" a „w nowej atmosferze współbiegnie cienka strużka odległego niedomówionego braterstwa, —braterstwa broni". Te wygładzone, „literackie" szkice niewiele mają wspólnego z „kudłatą" prozą „Żołnierzy". Mniej w nich faktów i zdarzeń z koszarowego życia, więcej rozmyślań i „charakterów" ludzkich. Jaskrawo występuje problem „szarego człowieka", którego trzeba poznać i ocenić, problem „Polski dołów", której „odgórne" warstwy tworzące kulturę ciągle za mało uwagi poświęcają. Nie mogę się oprzeć przekonaniu, że tak jak „Lato", żołnierskie utwory Rudnickiego są materiałem, z którego ma powstać dopiero jego koncepcja rzeczywistości. Że przez tropienie dowodów krzywdy ludzkiej i społecznego zła miał dopiero stworzyć swój pozytywny program pisarskiej działalności.

„Drobiazgi" w porównaniu z „Latem" mogą się wykazać większą dozą optymizmu. W chwilach, gdy nam coś zagraża, chronimy się pod opiekę zbiorowości, grupy, — wspomina o tym nawet sam Rudnicki. — Ludzie z „Lata" rozbici i powaśnieni samotnie przeżywali własne klęski. Wojsko w swych szeregach zgarniało wszystkich bez wyjątku, wytwarzało jakieś porozumienie, gotowość na wspólny los. „Czujemy się związani ze sobą, bliscy" mówi narrator w końcowej partii „Drobiazgów". I to stwierdzenie krzepi. Ani ludzie z „Lata", ani żołnierze z „Drobiazgów" ani sam autor, myślę, nie potrafiliby nazwać niebezpieczeństwa, które nadchodziło. Ale autor postanowił się bronić. Odrzucił gorzkie „Lato". „Drobiazgi i profile" mówiły o braterstwie i solidarności zbiorowej, a o to chodziło. O to chodzi zawsze.

Razem z „Wrześniem" przeszedł Rudnicki drogę odwrotu polskiej armii spod Płocka do Warszawy. Nadeszła okupacja. Na samym jej początku autor nie mógł przypuszczać, że zdobyte przed wojną wartości braterstwa i solidarności zbiorowej napełnią się dla niego nową treścią: przeżyć ludzi, których naród został skazany na zagładę. Już w „Lecie" Rudnicki ukazuje „bezradność, niemoc i śmieszność" kąpiących się po kryjomu Żydów, a przy okazji opisu obrzędów religijnych mówi: „całe tutejsze małomiasteczkowe, religijne, życie żydowskie w swym głównym sensie nastawione jest na to, aby dobrze umrzeć". Żydowski malec otrzymujący jałmużnę od polskiego przechodnia „nie wyobrażał sobie, że można łamać granice stawiane przez nienawiść", a zasymilowani Żydzi pod naporem antysemityzmu wracali do swoich z utratą wiary we wszelki postęp.

Są to problemy, które podejmuje i rozwija „Szekspir", zbiór opowiadań wydany w 1948 r., na szerokiej płaszczyźnie doświadczeń okupacyjnych od pierwszych dni Lwowa zajętego przez Niemców, aż do wyzwolenia, nie zawsze jednoznacznego dla Żydów z powrotem do życia. W szeregu wymownych scen autor podkreśla prawo pierwszeństwa, które Niemcy narzucili Żydom. Pierwszeństwa w metodach gnębienia, pierwszeństwa w śmierci. Oto Żydzi w strzępach ubrań zgarniają palcami uliczny śnieg. Tymczasem z kościoła „wysypali się mężczyźni i kobiety — jakże inni! Dwa tysiące lat temu umarł ktoś dla nich. I naprawdę patrząc na losy tak niepodobne, przez chwilę mogło się wydawać, że ciągle umierał, aby ich chronić" (Wielki Stefan Konecki). Bo jak wytłumaczyć inaczej tak odmienną sytuację? Są pewne stopnie nawet w okrucieństwie, nawet w rodzaju śmierci. „Była śmierć ukryta, chowana pod brezentem; jeszcze ludzka w porównaniu z jawną, cyniczną, światu do patrzenia wydaną" (W. St. Konecki). Na jakiej podstawie — pyta Rudnicki — ten szczególny los, gorszy od najgorszych, stał się udziałem narodu żydowskiego? Dlaczego niemiecki system niszczenia skierowany zazwyczaj przeciw ludziom z określonych kręgów społecznych, przeciw organizacjom, jednostkom działającym na szkodę tego systemu, w tym jednym jedynym wypadku wystąpił przeciw całemu narodowi?

Żydzi nie próbują się bronić. Narrator „Wielkiego Stefana Koneckiego", którego męczy własna swoboda, przebywanie na wolności, dobrowolnie przenosi się do ghetta, aby dzielić z narodem jego los. Nie wytrzymuje długo. Nie może znieść atmosfery biernego cierpienia, bezwolnego poddania, męczeństwa, za które nie otrzymuje się nawet spokoju. „W każdym domu było więcej cierpień niż w Hiobie, na każdym skrawku tych zamkniętych ulic było więcej bólu niż na drodze krzyżowej. Ostry smak nędzy, cierpień i beznadziejności dusił mnie od trzech dni". Po stronie przebywających na wolności nie było organizacji, która by podjęła próby buntu. Jedynym celem żydowskich zrzeszeń była materialna pomoc potrzebującym, opieka nad resztkami ludzi, którym ułatwiało się przetrwanie, o ile sami potrafili zapewnić sobie bezpieczeństwo. Powstanie w ghetcie nie było walką o życie, ale o „lepszą śmierć". I nikt z patrzących na płomień za murami nie mógł im przyjść z pomocą. „Byliśmy jak bez rąk. Ręce nasze były bezsilne, niezorganizowane" („Wielkanoc"). Milcząca zgoda na najgorsze towarzyszyła masowej śmierci Żydów.

„Czysty nurt" jest opowiadaniem na często podejmowany temat spotkania po wojnie ludzi, którzy się kiedyś kochali. On przebył obóz. Ona okupację w Warszawie w tysiącznych ucieczkach przed losem ludzi jej pochodzenia. To o czym on się dowiadywał z przypadkowych relacji, dla niej było rzeczywistością, w której przeżyła wszystko. Nie mogą się spotkać. Wojna zniosła możliwość porozumienia. Ale nie tylko odejście Amelii stało się przyczyną załamania Abla. „W pierwszych tygodniach swobody, najszczęśliwszych, najłaskawszych wierzył, iż znajdzie sobie miejsce w życiu i bez Amelii". Ale ci, „wobec których świat powinien się rumienić, wróciwszy po stokrotnym co dzień umieraniu w ciągu sześciu lat, padali na progu swych domów od kuli, która już nie była niemiecka". Abel odkrył swoją samotność, pojął, że nawet okupacja nie obaliła barier dzielących Żydów od świata. I to było zasadniczą przyczyną jego klęski.

W wymienionych utworach punkt po punkcie Rudnicki odsłania wszystkie elementy wyjątkowego losu Żydów. Nie rozpatruje ich w kategoriach przyczyn, które spowodowały tę wyjątkowość, ale raczej skutków. Skutków jakiegoś przeznaczenia. I szczególna zawziętość Niemców i bierne poddanie się Żydów wszystkim metodom niszczacego systemu i obojętność, a często nienawiść innych narodów w stosunku do tych, którzy najbardziej zasługiwali na współczucie, nie ma żadnego umotywowania. Są to fakty, sprawdzalne w tysiącach przykładów, ale niedające się wytłumaczyć zwykłym logicznym rozumowaniem. U Rudnickiego pojawia się słowo: **los.**

Taką opowieścią o losie, który nie dał się przezwyciężyć jest „Wielki Stefan Konecki". Konecki był przed wojną pisarzem i członkiem prawicy, któremu endecy „kłaniali się w pas", który miał pretensje do Żydów za to, że go kompromitują swoim istnieniem, który za wszelką cenę chciał być podobny do „nich". „A teraz siedział w swych pięknych pokojach, uprawianych troskliwie jak ogrody... siedział oto doścignięty przez los, którego się tak straszliwie całe życie bał". Błędem byłoby twierdzić, że narrator występuje w tym opowiadaniu jako szowinista potępiający odszczepieństwo Stefana Koneckiego, jego skłonność do ideologii zwalczającej Żydów jego rozpaczliwą chęć przeżycia w odosobnieniu od innych. Stefan Konecki usiłował przezwyciężyć konsekwencje swego pochodzenia. Wystąpił jako jednostka walcząca ze swoim losem. I jak w klasycznych tragediach greckich los się okazał silniejszy.

Fatum jeszcze wyraźniej zaciążyło na „Ginącym Danielu" On detrwał na wolności, do powstania warszawskiego, w którym szanse na życie były równo rozdzielone między Żydów i Polaków. I tu go dosięgło przeznaczenie. Poprzez zadawnioną niechęć przyjaciela sprzed wojny i jego miłość do dziewczyny, która zginęła, poprzez wahanie Daniela w chwili wyjazdu innych za fikcyjną granicę, które go wtedy ocaliło, szła droga jego losu zamkniętego w oskarżenie o płatną współpracę z Niemcami. Daniel nie walczył o życie — walczył o „dobrą śmierć", nie chciał ginąć, jako zdrajca. I zginął, w chwili, kiedy zdobył szansę na rehabilitację. Los znowu okazał się silniejszy.

Bohaterowie Rudnickiego są nierozerwalnie złączeni z narodem skazanym na zagładę. Okupacja jest tylko dalszym ciągiem cierpień ciągnących się poprzez wieki. „Od dziesięciu lat literatura zna termin: czasy pogardy. My, wuemi (wyznania mojżeszowego — przyp. mój), jak pan mówi, znamy go od dwóch tysięcy lat", mówi narrator do Stefana Koneckiego.

Skojarzenia z przeszłością narzucają się same. „Codziennie patrzyłem na wszystką ziemię od Galaad aż po Dan; i wszystką ziemię Naftalimową, i ziemię Efraimową, i Manasesową, i wszystką ziemię Judową, aż do morza ostatniego". „Serce moje oczekuje urągania i boleści, czekałem kto by się mnie użalił, a nie było; szukałem, kto by mnie pocieszył a nie znalazłem". „Ten język ojców był raz jeszcze żywy". („Wielkanoc").

Słowami z Biblii posługuje się autor przy opisywaniu cierpień narodu, jakby dla wykazania łączności tego, co się dzieje obecnie, z tym, co historia zna od wieków. Bo tam, gdzie chodzi o ocenę innej sytuacji, styl jego staje się suchy, sprawozdawczy, niemal publicystyczny. Np. „w kilka godzin później wybuchło powstanie **politycznie** skierowane przeciw Lublinowi"; „Mieliśmy najliczniejszą prasę podziemną w Europie, ale nakład Nowego Kuriera Warszawskiego wynosił trzysta tysięcy egzemplarzy — cyfra ogromna na polskie stosunki".

Przez brak argumentów dla wytłumaczenia żydowskiego losu, przez związanie rzeczywistości historycznej z zamierzchłą biblijną przeszłością, powstaje w twórczości Rudnickiego tragiczna koncepcja człowieka, tragiczna koncepcja losu. Proza jego przestaje być felietonem, reportażem, essayem czy szkicem. „Wielki Stefan Konecki", „Czysty Nurt", „Ginący Daniel", „Koń" — to **opowiadania zbudowane na wzorach tragedii.** W całym „Szekspirze" nie można znaleźć próby przezwyciężenia losu, poza może jedynym „Koniem", którego akcja rozwija się na tle stosunków przedwojennych. „Koń" umiera także, ale śmierć jego jest jasna — ginie przez ludzi tępiących organizację, do której należał. „Koń" ginie, ale towarzysze manifestują na jego grobie żywotność idei, której służył. **Śmierć Daniela, Koneckiego i tylu innych to przykłady klęski narodowej, dla której niema innego wytłumaczenia poza przekleństwem wieków. Śmierć Konia pomści organizacja. Śmierć Daniela i ginących w ghecie uczci tylko Biblia.** To zestawienie podkreśla kontrast dwóch różnych epok. Można było walczyć, gdy ginęły pojedyńcze jednostki. Ginący naród stracił odporność i porzucił wszelkie próby oporu.

Jest jeszcze jedno opowiadanie w „Szekspirze", które może potwierdzić, jak dalece Rudnicki przejął się losem narodu, i ludźmi z nim związanymi, jak inny los, człowieka, który odszedł od narodu, stał mu się po prostu obcy. Mam na myśli „Majora Huberta z Armii Andersa". „Rozmowa bohaterów przy końcu opowiadania — pisze Ryszard Matuszewski („Szekspir, czyli dojrzałość — „Kuźnica" Nr 13—14) — jest fikcyjna, gazetowa, publicystyczna. Ani narrator nie mówi wszystkiego, ani Hubert. Autorowi jakby zabrakło dystansu do zagadnienia niezwykle czułego". Major Hubert stracił orientację w różnokierunkowej historii ostatniej wojny i wyrzucony wypadkami poza obręb państwa nie może, nie chce wrócić do kraju. Rudnicki nie potrafił odczuć tragedii człowieka, który stanął wpoprzek własnego narodu, który nie umiał podzielić z nim wspólnego losu. Jakże wspaniale w porównaniu z Hubertem rysuje się postać Stefana Koneckiego. On też odszedł, za wszelką cenę chciał odejść, a jednak wrócił. W momencie śmierci nastąpiło jego pojednanie z narodem.

Rudnicki stał się pisarzem ginącego narodu. We własnym przekonaniu wypełnia obowiązek mówienia prawdy o jedynym na świecie okrucieństwie. Jego credo pisarza wyraża się jasno: „Nigdy więcej samego tylko piękna bez prawdy. Nie masz prawa do piękna, jak długo istnieje choćby jedna szansa powtórzenia się tego, co było". („Piękna sztuka pisania"). Wojna także nie odsłoniła przed pisarzem zamaskowanego mechanizmu zła, mechanizmu politycznego. Dlatego też prawda Rudnickiego z cząstkowej prawdy „Lata" przekształca się w prawdę metafizyczną „Szekspir" nie jest przezwyciężeniem, nie jest głosem walczącym, jest **skargą.**

Końcowe opowiadanie jest podsumowaniem pisarskich osiągnięć dwóch powojennych pisarzy. Rozmowa ich ma wydźwięk deficytowy, pesymistyczny. Dlaczego tym opowiadaniem nazwał Rudnicki cały tom? Czyżby nie wierzył swojej prawdzie artystycznej? Czyżby podpisywał się pod credo pisarzy z „Szekspira", którym zabrakło siły do dalszej pracy?

Lech Budrecki

POZA NAUKĄ*)?

I.

Kiedy prelegent podnosi się i zaczyna: „Będę mówił o publicystyce" — mimowoli ciśnie się na usta słuchaczy pytanie: „A co to jest właściwie publicystyka"? Istniał ongiś zacny i chwalebny ze wszechmiar zwyczaj, który nakazywał piszącemu rozprawkę definiowanie pojęć, jakie miał do niej później wprowadzić. Uczeń, siadający do podręcznika geometrii, otrzymywał od razu definicję punktu i prostej. Jak tedy określić publicystykę, jeśli mamy zachować tu wielowiekową tradycję metod Euklidesa? Czy traktować ją jako pewien typ pracy naukowej, czy też jako dziedzinę najzupełniej różną, spełniającą inną funkcję społeczną? A może tkwi w niej literatura? Sprawa jednak staje się całkiem niedwuznaczna przy pierwszych próbach wyjaśnienia. Gdy usiłujemy włączyć publicystykę do literatury, pisarze protestują, mówią, że nie mają z tym nic wspólnego. Owszem, pojawiają się niekiedy jakieś szkice, zajmujące się zagadnieniami artystycznymi, nie należą one jednak w żadnym wypadku do literatury. Zwracamy się więc do naukowców. Może oni włączają publicystykę w zakres swoich zadań i osiągnięć? Skądże! Profesor chcący zniweczyć książkę swego przeciwnika, pisze: „To jeden wielki artykuł. Niepoważna praca, felieton". Uczeni mają protekcjonalny stosunek do publicystyki, uważają ją za coś niższego, za coś daleko mniej nobliwego w porównaniu ze szczytną pracą naukowca. Rozprawka, traktująca o rodzajach guzików, używanych w pruskim pułku huzarów im. Marii Luizy, to rzecz niesłychanie wartościowa, to dzieło poznawcze. Gdzie równać się z nią artykułom, choćby nawet tym, które mówią o sprawach, uważanych najczęściej za ważniejsze! Tak więc publicystyka, nie należąca do literatury, wyparta z nauki, tworzy jakieś dziwaczne pogranicze, coś w rodzaju przejścia pomiędzy tymi dwoma różnymi w zasadzie rodzajami działalności ludzkiej. Wobec tego należałoby sformułować jakąś gruntowną, opisową definicję publicystyki. Spróbujmy więc... Za publicystykę uważać będziemy formę przejściową między literaturą a... Stop! A essay? Czym w takim razie będzie essay? Czy essay to publicystyka, a jeśli nie, to jaka jest tu różnica? Trzeba ostrożnie nakreślić jakąś linię demarkacyjną. Szybko przekonamy się, jakie trudne i bardzo niewdzięczne to zadanie.

Linneusz przystępując ongiś do systematyki zoologii rozpoczynał od dokonania klasyfikacji. Mówił kolejno co to jest gromada, rząd, rodzina. Powstała w ten sposób doskonała kartoteka, świetny schemat. Linneusz miał jednak zadanie poważnie ułatwione. — Fakt przynależności lwa do rodziny kotów nie był zagadnieniem ważnym dla wielu ludzi. Obchodził on właściwie dosyć szczupłą grupę speców. Na terenie humanistyki dzieje się niestety daleko gorzej.

I tu niewątpliwie przydałaby się jasna, przejrzysta, a zarazem ogólnie przyjęta systematyka. Wyraźne określenie prozy, poezji, publicystyki, dramatu. Czy jest to jednak tak konieczne i niezbędne jak w zoologii? Wydaje mi się, że nie. Ludzie bardzo szybko odróżniają „Hamleta" od „Pana Tadeusza". Niesłychanie rzadko zdarzają się osobnicy mylący pamflet Diderota z jakimś rozdziałem „Potopu". „To wynik milcząco przyjętej definicji" powiecie zapewne. Może nawet nie jednej, a wielu definicji. I to różniących się ze sobą. Ich brzmienie nie odgrywa tu jednak żadnej roli. Wystarcza nam działalność ludzka, ustalająca wyraźne granice pojęcia, służąca za wyznacznik doskonalszy niż się to początkowo wydaje.

Niedawno chciano wykluczyć Prousta z powieści. Narzekano, że to nie beletrystyka, że to amorfia. Można i tak. Czemu nie! Da się przecież utworzyć taki system, w którym Proust nie będzie powieściopisarzem, da się zbudować i taki, w którym zostanie on wzorem, kanonem wszelkiej prozy beletrystycznej. Wszystko zależy od tego, co będziemy rozumieć pod słowem powieść. A więc żyjemy w świecie niepewnych nazw? Imiona rzeczy są zmienne, dziś takie jutro inne? Teoretycznie owszem, w rzeczywistości jednak nie. I skoro nazwaliśmy stół stołem, po co chcieć go chrzcić ponownie. Czy warto zmieniać tu konwencję? Czy jest ona aż tak szkodliwa? Napewno nie. To też opisowe określenie, gdyby chciano je wprowadzić, musiałoby być zgodne z konwencją. Powtarzam raz jeszcze: gdyby chciano je wprowadzić. Ludzie bowiem żyją i dają sobie radę bez niego. Nieporozumienia zaczynają się, rzecz ciekawa, dopiero w chwili wprowadzania takich definicji. Winę ponosi tu zazwyczaj niedopasowanie określenia do ogólnych wytycznych, którymi posługuje się każdy człowiek, odróżniający „Beniowskiego" od „Pamiątek Seweryna Soplicy". O sławetny zwyczaju wołania na widok tapczanu: „Proszę państwa, oto krzesło", twoją to ofiarą miał paść Proust wyrzucony poza burtę powieści! U podstaw twoich leży trudność dostosowania normatywnych określeń jakiejś działalności ludzkiej, do tych granic, jakie zakreśla jej najpoważniejsza dziś opinia. Jest to trudność tak wielka, że przezwyciężenie jej wprost się nie opłaca. To nie zoologia! Prawda, że lew pochodzi z rodziny kotów, czy też, dajmy na to, małpiątek, pasjonuje niewielu. To są przecież sprawy dla ogółu ludzi obojętne. Co to jest powieść rozstrzyga nieustannie czytelnik w bibliotece, księgarz wprowadzający działową segregację, uczeń, który nie chce zajrzeć do gazety, na lekcji zaś czyta „Przygody Tarzana". Poproście ich jednak o określenie powieści. Nie będą w stanie wam odpowiedzieć. Mogą wskazać książki, przydzielić je bardzo trafnie do poszczególnych gatunków. Więcej nie umieją. Polepszą, ad hoc. Jeśli uwierzą jej będą chcieli dajcie im jednak swoją definicję, pierwszą zmieniać katalogi biblioteczne. Uznają je za doskonały przykład ludzkiej ignorancji. Pisząc tu przez cały niemal czas o powieści, myślałem o publicystyce. Powieść była przykładem lepszym, jaskrawszym, w publicystyce jednak rzeczy mają się tak samo. Jeden z moich przyjaciół uważa Montaigne'a za publicystę, ja za essay'istę, ktoś inny śmieje się z nas obu, sądzi bowiem, że publicysta i essay'ista to jedno i to samo. Zarówno jednak my, w swych rozpaczliwych kontrowersjach, jak i on w swych zjadliwych uwagach jesteśmy bardzo śmieszni. Nasz spór może się ciągnąć w nieskończoność, chyba, że uzgodnimy nasze systemy klasyfikacyjne, a tego się przecież (praktycznie rzecz biorąc) nigdy w dyskusjach nie robi. Spróbujmy więc załatwić to nieco inaczej. Popytajmy znajomych, sięgnijmy do książek, zbierzmy sądy o Montaigne'u. Przyjmiemy w końcu ten, który najbardziej jest rozpowszechniony. Z przypowieści tej wynika rzecz prosta morał. Gdy zapytają nas, co to jest publicystyka, nie uciekajmy się do definicji opisowej, starannie wyliczającej cechy gatunku. Odpowiedzmy po prostu: za publicystykę uważamy to, co aktualnie, w naszym kraju, najczęściej nazywane jest publicystyką.

II

Leży przede mną „Legenda Młodej Polski". Przeglądam ją już po raz trzeci. Za każdym razem, gdy zaczynam wertować ten obszerny tom, trapi mnie pytanie: „Dlaczego to nie jest książka naukowa, dlaczego rejestruje się ją jako pracę publicystyczną?" Temat ten sam, co i w wielu socjologicznych rozprawach: kultura. Wniosków ogólnych też nie brak. Interpretacja? Owszem, ale w jakiej pracy naukowej jej nie ma. Występuje ona wszędzie w formie jawnej czy też ukrytej. A jednak prawie każdy profesor uniwersytetu żachnąłby się oburzony, gdyby pracę jego zestawić z „Legendą" choć w wypadku obu dzieł cel był ten sam: poznanie jakichś zjawisk. Gdzież więc leży ten osławiony przedział, o którym tyle się mówi i tyle się pisze. Może to po prostu brak odnośników i przypisów, brak dokładnego oznaczenia stronic, przy podawaniu dzieła, z którego się cytuje?

Pytałem niedawno jednego z młodych naukowców o przyczyny pogardy, jaką żywił i żywi w stosunku do publicystyki. Ten odpowiedział mi od razu, że to wynik stylu, jakim „ci wszyscy gazeciarze" piszą. Powiedziałem mu, że style uniwersyteckich powag też są różne. „No, ale nigdy nie przypominają tego ohydnego języka, jakim twoi żurnaliści podają naukowe i półnaukowe prawdy". „Zdaje się, że masz na myśli tylko jakieś szczególnie złe artykuły, jakieś specjalnie mętne szkice". Na to mój współrozmówca nic nie odpowiedział. Podszedł bez słowa do półki z książkami, wyjął jakiś tom, otworzył i zaczął czytać: „Inteligencja nie stworzy nigdy wielkiego dzieła sztuki. Do tego potrzebny jest wszechmocny instynkt życia, ten dreszcz, który przychodzi z daleka, idąc jeszcze dalej — to, co Platon nazywa świętym cierpieniem". „Czy rozumiesz z tego cośkolwiek?" — spytał mnie po chwili. „Owszem". „A czy uważasz, że fragmencik ten może być rozumiany tylko jednoznacznie? Czy wiesz, co to znaczy „instynkt życiowy", czy wiesz co rozumie pisarz ten przez „inteligencję?". „Nie, nie wiem". „Pięknie!" Odłożył tom, znów wyjął jakąś książkę, zaczął czytać: „Wykluczone są też zbyt częste elipsy. Zmiana dyżurów bowiem odbywa się albo wówczas, gdy postać A wdaje się w rozmowę z postacią B lub spotyka się z nią na przestrzeni umożliwiającej współudział jednej i drugiej postaci w jednym i tym samym wydarzeniu, przy czym postać B bezpośrednio usuwa pierwszą z dotychczas zajmowanej przez nią pozycji uprzywilejowanej, albo gdy rola postaci, że tak powiem umiera śmiercią naturalną".

„A to jasne? — zapytał. „Owszem" — zgodziłem się.

Reasumując więc rozmowę należałoby stwierdzić, że chodzi głównie o język. Ścisły, jednoznaczny, wyzbyty wszelkich domyślników, posługujący się dokładnie zdefiniowanymi pojęciami. Za wzór mógłby tu posłużyć któryś z niemieckich profesorów, władających tak doskonale swoim „technicznym" systemem najzupełniej różnym od mowy potocznej. (Wszyscy studenci pierwszych lat mają chyba dobrze w pamięci takie wykłady, na których nie rozumieli ani słowa). Wystarczy więc uściślić i sprecyzować wypowiedzi, dołożyć odnośniki, podać obfitą bibliografię, a każdy artykuł zamieni się w małą rozprawkę? Niestety, sprawa przedstawia się dużo gorzej. Jest daleko mniej przejrzysta, daleko bardziej zawikłana. Uznanie za jedyny i niezawodny wyznacznik nauki jakiegoś systemu pojęciowego prowadzi raz po raz do walki z konwencją. (Zaznaczam tu specjalną trudność takiego rozróżnienia w stosunku do tzw. nauk humanistycznych, gdzie każdy badacz posługuje się innym aparatem pojęciowym).

Młody naukowiec mówił coś o jednoznaczności. Gdzie ją znalazł? Filozofia to jedna z dziedzin nauki, prace z jej zakresu winne byłyby tedy spełniać wymagania stawiane pracom naukowym. Spróbujcie więc znaleźć jednoznaczność u Kanta, nad którym siedzą dziesiątki komentatorów spierających się mniej więcej od 100 lat o właściwe rozumienie jego ontologii. Idźmy dalej. Rozliczni badacze historii literatury posługują się z widocznym upodobaniem niezdefiniowanymi pojęciami, uprawiają werbalistykę, wodolejstwo, uchodzą jednak nadal za naukowców. Nie odbiera się im tego tytułu, domagając się w najgorszym razie „uzdrowienia" humanistyki. Na jej terenie bowiem granice dzielące artykuł od rozprawy są coraz węższe i coraz mniej znaczne. Nie można ich już wyznaczyć przy pomocy przeciwstawienia specjalnego, ścisłego języka mowie potocznej, którą mają operować prawie wszyscy publicyści. Mówiono nieraz o przystępnym stylu publicystyki, porównując go wówczas do, odstraszających czytelnika swą zawiłą terminologią, dzieł Znanieckiego. W tym miejscu cytowano zazwyczaj któryś z felietonów zestawiając go z odpowiednimi passusami „Wstępu do socjologii". To było przekonywujące, to brało! Wszystkim tym, którzy tak właśnie postępowali i wszystkim tym, którzy im uwierzyli poświęcam ten oto urywek z książki par excellence publicystycznej, z „Legendy Młodej Polski".

„Nie zastanawiamy się nad zagadnieniami najistotniejszymi, które dlatego właśnie, że tak istotne, nieustannie nam towarzyszą, zapominamy jak straszliwe wprost znaczenie tkwi w samym pojęciu naszego **ja**, w **ja**, jako formie. Oto pewna ukształtowana w pewien specjalny sposób psychika przyjmuje samą siebie za podstawę działania. Działa i gdy jej czyny wracają do niej przełamawszy się w pryzmacie całego otaczającego ją życia, musi uznać je za swoje. Co to znaczy, oto ani mniej ani więcej jak to, że każde **ja** zostaje uznane za pana całego przyczynowego splotu życia. Świat cały — mówi francuski filozof Le Roy — jest naszym ciałem. **Ja** z tego punktu widzenia jest zadaniem: psychika ma się stać odpowiedzialnym i niezależnym władcą świata, kształtować ma życie jako swoją własność". Piękna maniera bez dwu zdań! Ale czy nie dokonuję tu przypadkiem aktu samooskarżenia, czy nie wracam do podziału młodego naukowca, który skierowywał podobne wywody bez dyskusji do publicystyki?

Nie, napewno nie. Student filozofii przygotowując się do egzaminu czyta Nietzschego. Spotyka tam ten styl, tę właśnie manierę, którą z wielkim powodzeniem stosuje dziś essay'ista. Otwarto bowiem drogę metaforom, chwycono się skrótów myślowych. „Ach gdzież na świecie dzieją się większe głupstwa niż te, które popełniają współczujący? I cóż na świecie spowodowało więcej cierpień niż ta głupota współczujących. Biada kochającym, którzy nie są wyżsi nad współczucie. Kiedyś diabeł powiedział mi: „Bóg ma także swoje piekło: to Jego miłość do ludzi". Tak brzmi fragment „Zarathustry". O, już słyszę głosy zelantów, że winien jest program, że trzeba go zrewidować, że trzeba usunąć Nietzschego ze spisu lektury obowiązującej na filozofii! Nie, najdrożsi, winien nie jest program. Pełną odpowiedzialność za całe nieporozumienie ponosi fałszywe kryterium. Ono to kazałoby nam szybko zredukować liczbę „naukowych" książek przynajmniej do połowy. Jakiż więc z tego wniosek? Morał jak zawsze jest bardzo prosty. Jednoznaczna, ściśle umowna terminologia może uchodzić za jeden z pobocznych wyznaczników nauki. Nie da się natomiast uczynić z niej doskonałego kryterium, którym możnaby zawsze i wszędzie posługiwać się z jednakim powodzeniem. Przy rozróżnianiu nauki i publicystyki daleko już większą rolę odegra sprawa popularyzacji. I nad nią warto się zatrzymać.

III.

Kiedyś klarowano mi długo przyczyny, dla których książki naukowe są w zasadzie mało czytelne. Powiedziano wówczas, że to wynik nadmiernie skomplikowanej problematyki jaką poruszają. Typ edukacji rozpowszechniony najbardziej w Europie wytworzył niezbyt liczną grupę speców, których badania są dla większości przedstawicieli społeczeństwa zupełnie niezrozumiałe. Stało się to bardzo zwyczajnie. „Przeciętny inteligent" w swej karierze naukowej osiągał maturę, w najlepszym razie dyplom magisterski. Potem wchodził w system ściśle określonych zajęć, podczas których nie starał się już zazwyczaj (a i nie miał potrzeby) uzupełniać swego wykształcenia. Ba, nawet naukowiec pracujący w swojej, dokładnie wyznaczonej dziedzinie, nie ma zazwyczaj pojęcia o osiągniętych w innych dyscyplinach wynikach. Teoria rachunku klas jest dla zoologa nazwą pustą. Nic nie znaczy i, biorąc rzecz rozsądnie, trudno wymagać, by coś znaczyła. Uniwersalistyczna wiedza stała się dziś czymś zupełnie niemożliwym do osiągnięcia. O niektórych ludziach Odrodzenia mówiono, że wiedzieli wszystko, co w owych czasach mógł człowiek wiedzieć. Obecnie nie powie się tego o nikim. Dowiadujemy się o wielkich wydarzeniach naukowych właśnie przy pomocy publicystyki. Sprawa rozbicia atomu, teoria kwantów, sprawa równań Diraca, o którym mówiono, że rozumiało go tylko trzech ludzi na świecie i to nie napewno, zostają nam w odpowiedni sposób uprzystępnione. Dokonywuje się tu, rzecz prosta, maksymalnego uproszczenia. (Wątpię np. czy Dirac poznałby swoje wywody streszczone na pół szpalty odpowiednio „wyjaśnione" i „wytłumaczone"). Różnicę między pracą naukową, a publicystyczną są w tym punkcie nadzwyczaj wyraźne. Przede wszystkim rozwiązywane bywają inne zagadnienia. W „Orędowniku" piszą o cudach, przytaczają stare dowody istnienia Boga, podczas, gdy katolicki filozof mówi już o kryzysie nauki, o agnostycyzmie, o naturalnych i wiecznych granicach poznania. Można tu podać zupełnie historyczny, choć bardzo jaskrawy przykład. Husserl w swoich atakach na psychologizm pozytywistów przyzna największe znaczenie poznaniu ejdetycznemu, zakwestionuje wartość nauki, odmówi jej własności prawdziwie poznawczej. Publicysta natomiast napisze o ignorancji racjonalistów, o dogmatycznej nauce, która tłumi możliwości naturalnego rozeznawania się w świecie przy pomocy „serca". Chodzić będzie mniej więcej o to samo. Wartość wywodów jest jednak różna. Z przypisywania publicystyce cech wyłącznie i jedynie popularyzatorskich, narodziło się przekonanie o jej drugorzędności w stosunku do nauki. Nauka miała kierować jej rozwojem i wpływać na nią. Siłą rzeczy publicysta zostawał komentatorem, objaśniaczem prawd „wielkich umysłów". Miał tłumaczyć ich wnioski tym wszystkim, których nazywali tak często klerkowie półanalfabetami kultury. Jedyną jego pociechą mogła być poczytność, w porównaniu z luminarzem, większa popularność. Jednak do historii mógł przejść jako wartość tylko naukowiec. Nie chcę w tej chwili opowiadać się za, czy przeciw temu twierdzeniu. Podaję je jako konsekwencję funkcji popularyzacyjnej, którą naogół publicystyka spełnia. Czy spełnia ją zawsze, czy ogranicza się tylko do niej, to już sprawa inna, godna specjalnego omówienia. Wymieniam tu dwie główne przyczyny, dla których publicystyka jest uważana za coś daleko podlejszego w porównaniu ze wszystkimi dyscyplinami. Uznaje się z góry, że o porównaniu nie ma tu mowy. Jak można zestawiać doskonałość nauk z czymś popularyzatorskim, mętnym, nieokreślonym? A może jednak tak nie jest? Zanim rozstrzygniemy ten problem warto by sprawdzić, pochodzenie niektórych schematów, na ogół przyjmowanych przy rozwiązywaniu tego zagadnienia.

IV.

„Chwała czcigodnym uczonym!" woła aptekarz Homais. Kto to jest aptekarz Homais, kogo przedstawia? O tym przekonamy się szybko słuchając jego przydługiej tyrady. „Ja jestem wierzący i to nawet bardziej niż oni, ze swym kuglarstwem, ze swą żonglerką. Ja wielbię Boga! Wierzę w Istotę wyższą, w Stwórcę, jaki on tam jest. to już mnie mało obchodzi, który umiejscowił nas tutaj, abyśmy mogli wypełniać nasze obowiązki obywateli, ojców rodzin... Mój Bóg to Bóg Sokratesa, Franklina, Voltaire'a, Berangera. Ja jestem za „Wyznaniem wiary" wikarego sabaudzkiego i za nieśmiertelnymi zasadami 89 roku". Wypowiedź jest niedwuznaczna. Aptekarz Homais wielbi rewolucję francuską, aptekarz Homais wierzy w naukę i postęp.

Chcąc zrozumieć „niższość" publicystyki wobec wszelakiej nauki, musimy szukać źródeł tej konwencji w początkach fetyszystycznego scientyzmu. A te są dość dalekie. Zaczęło się w czasach oświecenia. Encyklopedyści rzucili przecież jedni z pierwszych hasła poszanowania i kultu dla nauki. Stała się ona w ich ręku bronią przeciwko „zabobonom" i podstawowym argumentom idei „postępu" i „oświecenia". W strukturze feodalnej jedyną dyscypliną cenną była teologia, wszystkie inne cieszyły się daleko mniejszym powodze-

*) Patrz: L. Budrecki — „Z zagadnień publicystyki" „Wieś" Nr 20—21.

Redakcja tygodnika „WIEŚ"

przypomina o konkursie

„Ilu zdobyłeś prenumeratorów WSI"?

Dla zdobywców nowych prenumeratorów naszego pisma, obok nagród przewidzianych w ogólnym konkursie prasy Związku Samopomocy Chłopskiej (patrz „WIEŚ" Nr 13—14, z dnia 28 marca — 4 kwietnia b. r.), redakcja przewiduje następujące nagrody:

I. od 10 nowych prenumeratorów — a) bezpłatną nową prenumeratę od 1 stycznia 1949 r.,

II. od 25 nowych prenumeratorów — (a) i b) rocznik „Wsi" lub książkę,

III. powyżej 50 nowych prenumeratorów — (a), (b) i nagrody pieniężne (kilkadziesiąt tysięcy złotych).

Nauczyciele, działacze gospodarczy, młodzieżowi, polityczni, licealiści, studenci, panowie adwokaci, lekarze, „inteligencjo polska"...

PRZEZ „WIEŚ" DO WIEDZY I ZNAJOMOŚCI WSI POLSKIEJ!

niem. Rzeczą zupełnie dziś jasną jest ogromna rola religii w średniowieczu jako czynnika cementującego i wspierającego panujący naówczas ustrój społeczny. Wielką „prawdą" XIX wieku było przekonanie o walce religii i nauki. Przekonanie to było (o ile ujmujemy je w kategoriach historycznych, odnosząc konflikt do wieków XVI i XVII) zupełnie słuszne. Wiedza i tzw. zdrowy rozsądek zostały orężem mieszczaństwa w niszczeniu ustroju feodalnego i podkopywaniu argumentów ustawiających arystokrację i szlachtę na czele porządku społecznego. W miarę dalszego kształtowania się systemu burżuazyjnego da się zauważyć ustalanie się nowej hierarchii wartości, jaką mieszczaństwo narzucało całemu społeczeństwu. Tam właśnie na pierwszym miejscu stała nauka, której zalety nie podlegały żadnej dyskusji, w której widziano częstokroć kryterium ostatecznej oceny jakichś wypadków i zdarzeń. (Zaznaczam lojalnie: działo się tak do lat 80-tych minionego stulecia). Pozytywizm, któremu przypisuje się najczęściej wszystkie te koncepcje, rozwinął je jedynie w sposób krańcowy, nie będąc jednak w żadnym wypadku ich inicjatorem. Nauka jako wartość pewna i niczym niezachwiana, jako wartość dająca trwałą podstawę moralności, pojawiła się w poszczególnych filozofiach dużo wcześniej. Już na wiek przed Comtem Immanuel Kant odpowiadając na rozpowszechnione wówczas pytanie: „Czy metafizyka ma prawo kwestionować wyniki osiągnięte przez nauki empiryczne?", mówił wyraźnie: „Nie", starając się przy tym skonstruować taki system metafizyczny, który by wytrzymał kryteria naukowe. To była pierwsza, wyraźna oznaka kultu dla wiedzy, który tak wspaniale się odbił na poszanowaniu godności naukowych w państwach burżuazyjnych, gdzie przez pewien czas przynajmniej profesor uniwersytetu był otoczony czołobitnością, okazywaną niegdyś tylko stanowi kapłańskiemu. Nic więc dziwnego, że publicystyka zestawiana z najwyższą wartością ludzkich osiągnięć (sztukę nawet uważano tu za coś właściwie podlejszego), traciła prawie wszystkie swe walory, schodząc na pozycje już drugorzędne. Jej zasługi były nazbyt małe, jej znaczenie nazbyt szczupłe, by mogła uzyskać poważne stanowisko w tej hierarchii kulturalnej, jaką w oparciu o naukę, przez cały wiek XIX, ustanawiano. I w tym miejscu zaczyna się zagadnienie bardzo niebezpieczne. Uznajemy więc kult nauki za jedną z dominujących konwencji mieszczańskich XVIII i XIX wieku? Tak. Czy wobec tego będziemy usiłowali ją utrzymać, kontynuując starannie linię aptekarza Homais, czy też dokonamy tu zdecydowanej rewizji? Dylemat trudny i skomplikowany. Przywykliśmy bowiem pojmować poprzez słowo burżuazyjny jakiś styl życia, jakąś postawę wobec świata, to właśnie, co widzieli w mieszczaństwie liczni idealistyczni filozofowie. Oni to chcieli usunąć kult nauki, jako spadek „mieszczańskiej" rzekomo tradycji. Byli bowiem wobec niej zawzięci i surowi w swych puryfikatorskich zabiegach. Być może stojąc na ich pozycjach możnaby dokonać przewartościowania wszystkich wartości. Byłoby to jednak zupełnie błędne i co gorsza fałszywe. Trudno dyskwalifikować odrazu jakieś przekonanie z tego tylko powodu, że przechodziło przez różne usta. Ostatecznie fakt, iż ongiś mieszczaństwo szanowało i czciło naukę nie jest przecież przyczyną, dla której musielibyśmy postępować inaczej. Stąd też wszelkie nadzieje na zmianę sytuacji publicystyki pozornie upadają. Czyżby jednak rzecz się miała tak właśnie? W mieszczańskich konwencjach pewnego ściśle wyznaczonego okresu nauka była wartością najwyższą. Mówiłem już o tym, i jeśli jeszcze raz konstatuję to zjawisko, to tylko po to, by zwrócić uwagę na niebotyczność pozycji, jaką nauka tam zajmowała. Dzieło z zakresu każdej dyscypliny, nawet nieudane, nawet bardzo mierne, cenione było wyżej od najdoskonalszych osiągnięć publicysty. Dlaczego? Ponieważ język rozpraw odznaczał się ścisłością, ponieważ nie miały one charakteru popularyzatorskiego. Konwencje tego rodzaju, konwencje już wartościujące trudno obecnie popierać. Nauka nie jest przecież kryterium absolutnym, miernikiem naszych słów i zachowań. Owszem może spełniać i taką rolę, ale tylko wówczas, gdy jest postępowa. Mówię tu głównie o naukach humanistycznych, gdzie jak chyba dobrze wiadomo, nie ma interpretacji pewnych, są tylko mniej lub bardziej prawdopodobne hipotezy. Ścierają się tam najzupełniej sprzeczne ze sobą koncepcje. Tak więc kryterium postępowości jest jedyną podstawą do pozytywnego czy też negatywnego oceniania metod i wyników badań. Tu też prace publicystyczne mogą być uważane z całą słusznością za dzieła daleko większej, daleko poważniejszej klasy niż przeróżne przyczynki. Mogą być, to nie znaczy, że są. Czyż więc ich nie ma? Wręcz przeciwnie dałoby się wyliczyć szereg przykładów wskazujących, że publicystyka nie raz i nie dwa odgrywała większe znaczenie niż prace naukowe, że poprzedzała je i przygotowywała. To chyba ostatnie moje uwagi nad starym, ze średniowiecza wywodzącym się, zwyczajem uprzywilejowywania poszczególnych stron działalności ludzkiej, tworzenia wśród nich hierarchii, co w rezultacie prowadziło do takich sporów jak: „Co ważniejsze: nauka czy sztuka, matematyka czy filozofia, powieść czy dramat"? Najwyższy czas z tym już skończyć.

V.

Założeniem, które celowo sformułuję tu na wstępie, chcąc wywód swój uczynić jaśniejszym, jest przekonanie o tym, iż występują w historii takie wypadki, kiedy to publicystyka poprzedza swoją działalnością sformułowanie praw naukowych kiedy to ma ona daleko większe niż zazwyczaj znaczenie, kiedy to wreszcie jest niesłychanie cenna i wartościowa. Wolałbym nie określać tu odrazu wydarzeń, w których podobne fakty zachodzą*). Poprzestanę raczej na stwierdzeniu ich egzystencji, zajmując się prawami wywołującymi takie zjawiska dopiero w zakończeniu. Wartoby przejść tutaj do przykładów. Celowo nie podam ich wiele. Ograniczę się do jednego tylko. Każdy z nas chyba doskonale pamięta dzieje tego okresu, w którym od tylu już lat doszukujemy się (słusznie czy niesłusznie) jakiejś wzorowej ciemnoty, jakiegoś doskonałego obskurantyzmu. Tak, mówię o średniowieczu. Weźmy więc dla szybszego osiągnięcia naszych celów początki Odrodzenia, ów moment przejściowy, w którym najwyraźniej uwidoczniły się ataki myślicieli mieszczańskich na ustrój feodalny. Pierwszym dziełem naukowym wstrząsającym podstawami średniowiecza było „De revolutionibus orbium coelestium" Mikołaja Kopernika, gdzie zaatakowano gwałtownie jedną z nieustannie do wierzenia podawanych nauk biblijnych. Rzecz prosta, spór między odkryciami astronomii a prawdami wiary nie sprowadzał się do walki „oświecenia z ciemnotą", czy też „uczucia z rozumem", będąc jedną z zasadniczych przesłanek ideologicznych walki mieszczaństwa z ustrojem feodalnym. Przypomnijmy sobie na chwilę datę wydania wielkiego dzieła Kopernika! Rok 1543. To znaczy w 7 lat po śmierci Erazma z Rotterdamu. Rozejrzyjmy się raz jeszcze wśród książek naukowych tego czasu. Czy nie znajdziemy tam prac poprzedzających swymi hasłami rewolucyjną rozprawę Kopernika? Skądże! Naprózno ślęczelibyśmy nad bibliografią. Jeśli trafilibyśmy na dzieła protestujące przeciw porządkowi średniowiecznemu, przekonalibyśmy się szybko, że napisali je publicyści. Walka zaczyna się wcześnie. Rok 1509 to data jednego z pierwszych dzieł, którego celem był już jawny atak na średniowieczny układ wartości. Ukazuje się „Pochwała głupoty". Autora jej znamy dobrze. Jest nim Erazm z Rotterdamu. Co do książki tej panuje w jednym miejscu sielankowa zgoda, wszyscy włączają ją w zakres publicystyki. Nie ma zresztą ona napewno aspiracji naukowych, zresztą wśród książek mających założenia poznawcze u podstaw nie pojawiały się takie, które protestowałyby przeciw feodalnej strukturze Europy. Naukowcy ówcześni powtarzają zazwyczaj sformułowania starych summ teologicznych. Mogę przytoczyć tu nazwiska najznaczniejszych filozofów i wykazywać kolejno ich teologizm, ich konformizm w stosunku do zastanego ustroju. A więc proszę bardzo: Neo-platonik, nawiązujący częściowo do nominalizmu Mikołaj Kuzańczyk, mistyk pitagorejski Marsilio Ficino, zwolennik kabalistyki i astrologii Pico da Mirardola. Zaznaczam: to myśliciele najwybitniejsi, najbardziej szanowani i nieuznawani (za swoje wolnomyślicielstwo), przez powagi uniwersyteckie. Jak tedy wygląda nauka oficjalna? Rabelais mówiąc o profesorach ma dla nich jedną tylko nazwę: Sorbonoosły i nie można rzec o niej, aby była nazbyt surowa. Uprzytomnijmy sobie, że rzecz dzieje się w osławionym, schyłkowym okresie scholastyki, kiedy to rozważania subtelne i niezwykle powikłane kontynuowały przeszło 300-letni spór między realistami a nominalistami. — Wiemy chyba dobrze jak długo utrzymał się podobny typ rozważań na uniwersytetach, jak długo wydawano rozprawy o bóstwie i człowieczeństwie Chrystusa, mnożąc „byty" w nieskończoność. Ten typ „nauki" bronił się wówczas powagą instytucji i dostojeństw akademickich przeciw coraz gwałtowniejszym wypadom pamflecistów, drwiących z podstawowych urządzeń feodalizmu. Kiedy w pierwszych dziesiątkach lat XVI wieku Macchiavelli pisał „Księcia" i „Uwagi nad 10 dekadą Tytusa Liwiusza", formułując podstawy nowej koncepcji człowieka i świata, studenci na uniwersytetach nawet włoskich (a tam przecież średniowiecze skończyło się najszybciej), ślęczeli nad ojcami kościoła i recytowali fragmenty dzieł św. Bonawentury. To zjawisko jest charakterystyczne dla całej Europy. Hasła Odrodzenia propagują i popularyzują publicyści i tylko publicyści. Dopiero później śladami ich pójdą naukowcy. Dlaczego tak się stało? Sprawa jest dosyć prosta. Jedynymi ośrodkami naukowymi na terenie całej ówczesnej Europy były uniwersytety, na których wdrażano w pewien ściśle określony typ studiów. Całej ówczesnej wiedzy nadano kierunek nie spotykający zazwyczaj znikąd sprzeciwu. Profesorowie pamiętali dobrze tułaczkę „heretyków" i późniejsze ich kajanie się. Woleli widocznie tego uniknąć, komentując zgodnie z kościołem poszczególne ustępy Ewangelii.

Spróbujemy więc na tym pośpiesznie nakreślonym przykładzie dokonać analizy warunków, w których publicysta wyprzedza niejako naukę. Następuje to rzecz prosta głównie wówczas, gdy wszystkie ośrodki myśli badawczej (a i dziś są nimi najczęściej uniwersytety) zostają opanowane przez intelektualistów reprezentujących ideologię mniej lub więcej zachowawczą. To szturmowanie uniwersytetów z zewnątrz, walka publicystów z luminarzami, nie stanowi pojedyńczego wypadku w historii. Tak działo się nieraz. Naukowcy w momentach niezwykle silnych przemian szli zazwyczaj po dawnej linii, nie dostosowywali się do zachodzących wydarzeń, bronili swą ideologią pozycji grup społecznych, które przestały już odgrywać rolę postępową. W przeróżnych akademiach aż po XVII wiek broniono ustroju feodalnego, nazywając go ostatnim stopniem na drodze do realizacji Państwa Bożego. Wcześniej jeszcze padały nieraz z Sorbony gromy na książki Erazma. Dziś odczytuje te pisma jakiś erudyta najczęściej z drwiącym uśmiechem. Erazm został „nauczycielem świata", jego przeciwnicy solidni naukowcy, uzbrojeni w rozliczne volumina, cytujący z pamięci „Summę teologiczną" są w naszej konwencji ośmieszeni. Mówimy o nich banalnie, że przegrali wobec historii.

Lech Budrecki

*) Patrz mój artykuł „Z zagadnień publicystyki" — „Wieś" Nr. 20—21.



A. Kamieńska i J. A. Król na zjeździe korespondentów „Chłopskiej drogi".

Anna Kamieńska

WIERSZE

W OGRODZIE

Widzicie tę górę porosłą lasem, od łąk wklęsłą?
To tam stałam z matką, gdy przeczuła swą śmierć.
Zapamiętaj piękno! — krzyknęła mi szczęśliwa, biedna —
myśląc, że widzi spokój wiekuistych wzgórz.

Lecz praca nie pozwala jej być wierzącą zawsze,
jak Pascal, gdy dziwił się niedoznającym przerażeń.
W ogrodzie u nas wre wiosna, sadzą sałatę i szpinak,
siostra w czarnym fartuszku niesie flance z piaskiem.

Tu naprawiają rynny, o które deszcz zadzwoni,
grabi się liście dębowe suche i zwiędłą trawę,
Pawłowska sadzi kartofle, karczuje lasek Stanisław,
Piotruś wśród nich się plącze — cudzy okruch miłości.

Wyznam szeptem — pisząca o kulturze,
że widząc taką starość matki poprzez różowiejące gałęzie morel —
miałam chwilę zwątpienia: pocóż
się od zapachu ziemi odłączać?

Choć u nas fiołki kwitną jak w Kolonos —
przejdzie wojna druga i trzecia,
nad matką, nad córką zamknie się ziemia —
a kultura rozumna oprze się własnym zwątpieniom.

NA PYTANIE JAK SIĘ UBIERAM NA WIOSNĘ

Ubieram się w strój, w jakim chodzi się do niewidomych,
siadam tak obok starych aktorek umazanych szminką,
nie jestem nawet osobą, kimś, w kim można się kochać,
nawet kimś do kogo się mówi: koleżanko, pani, czy żono.

Ubieram się w strój, w jakim chodzi się do Zoo,
gdzie piszczą z radości cyganki na widok słonia,
same jak z klatki, w strój, z którego wyzwalam się żmudnie
czytaniem Kanta, Simmel'a i Wells'a.

Ubieram się w szorstką powagę, gdy nie mówię do dzieci,
w uprzejmość, gdy trzeba. Aby wiedzieli:
mówi język, miejsce, nie ma tu nikogo, kogo możnaby
opuszczać lub pocieszać lub brać za ręce.

Zapewne, moda jest z cywilizacji tej samej, co biblioteki.
Drażni mnie własny nieporządny kosmyk na wietrze,
który chciałby jeszcze udawać moją młodość
komuś, kto patrzy nań z uśmiechem.

Ubieram się w spokój zalecony, żeby nie było nadziei
na radość, która mogłaby minąć wcześniej,
na smutek, któryby mnie czynił szlachetniejszą niż jestem.
Nawet ptaszka — Twoją czułość ukryłam pod kołnierzem.

SPROSTOWANIE

Do artykułu mego, zamieszczonego w nr. 20—21 tygodnika „Wieś" przez przeoczenie wkradły się dwa błędy. W tytule zamiast: „Od czajchanu...." być powinno „Od czajchany...", w wierszu 34 od dołu w szpalcie 1 str. 10 zamiast „Necksö" powinno być „Nexö".

L. Gomolicki

Do artykułu „Imperializm i pokój" wkradł się błąd. Zdanie „Komunista francuski — Karol Peguy na krótko przed rozstrzelaniem przez gestapo pisze: „Porch du Mystere de la deuxiéme vertu" — pean na cześć postępu, przyszłości i nadziei" powinno brzmieć: „Komunista francuski Pierre Rigault na krótko przed rozstrzelaniem przez gestapo pisze w liście: „Jestem tylko odrobiną krwi, która użyźni francuską ziemię" — słowa wyrażające bezmiar wiary i nadziei — w naród i przyszłość".



POSIEDZENIE SENATU

„Otello" w Państw. Teatrze W. P. w Łodzi   Fot. S. Brzozowski i J. Malarski

Wiktor Woroszylski

„OTELLO" I HISTORIA

(Dwa zaprzepaszczone nurty „Otella")

I. „PATRZ NA TRAGICZNĄ POSTAĆ TEGO ŁOŻA. TWOJE TO DZIEŁO". (Lodovico)

JUŻ od początku widzimy nikczemnego Jagona jak knuje przeciw szlachetnemu Otellowi. Dzięki Jagona intrydze dowiaduje się sędziwy Brabancjo, że córka jego, piękna i niewinna Desdemona, uciekła tej nocy z murzynem, by go poślubić. Biada Otellowi! — nie oprze się, choć dzielny, potędze weneckiego senatora — Jago może zacierać ręce. Ale nie: wielkie niebezpieczeństwo grozi Wenęcji, flota turecka płynie w kierunku Cypru. Któż zdoła odwrócić nieszczęście, jeśli nie czarnoskóry generał, wypróbowany w wielu bitwach strateg? Doża nie chce z nim w takiej chwili zadzierać — stąd wynika, że rację ma Otello, nie Brabancjo.

Choć pierwszy akt nie uwieńczył powodzeniem intrygi zbrodniczego chorążego, ten nie zrezygnował ze swych niecnych planów. Akcja toczy się już na Cyprze, po zwycięstwie nad Turkami. Jaga upija pięknego Kassja, porucznika i zaufanego Otella, następnie za pośrednictwem podstawionej osoby głupiego Rodryga prowokuje awanturę, kończącą się pojedynkiem Kassja z zarządcą Cypru, Montanem. Rozgniewany Otello pozbawia Kassja stanowiska.

Jago działa dalej. Drogą zjadliwych aluzji, otwartych kłamstw i zainscenizowanych dowodów rzuca cień na cnotę Desdemony. Otello, uprzednio bezgranicznie ufający żonie, ulega podszeptom złoczyńcy. Gdy jest już przekonany, iż Desdemona zdradziła go z Kassjem, dusi ją. Jednocześnie Jago i Rodrygo napadają na Kassja. W walce ginie Rodrygo. Kassjo jest ranny — Jago usuwa ślady swej zbrodni. Tymczasem dzięki konfrontacji Jagona i żony jego Emilii, służebnicy Desdemony, wychodzą na jaw sprężyny zbrodni. Jago w ostatniej chwili zabija Emilię, ale jego z kolei przebija mieczem zrozpaczony Otello. Po chwili Otello popełnia samobójstwo. Umierając, pada na zwłoki Desdemony. Obecny przy tym poseł Doży, Lodovico, wraca do Wenecji, jak powiada „... aby senatorowi Z sercem zbolałym skreślił, jako świadek, Ten zbyt bolesny dla wszystkich wypadek".

Kurtyna opada. — Przepraszam, czy to streszczenie ponurego, grafomańskiego melodramatu? — Nie, to jedno z arcydzieł światowej dramaturgii, „Otello" Williama Szekspira. Wracamy z najnowszej inscenizacji tej tragedii w Państwowym Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi.

II. „GDYBYM BYŁ W SKÓRZE OTELLA, NIE CHCIAŁBYM, MA SIĘ ROZUMIEĆ, BYĆ W SKÓRZE JAGONA". (Jago).

Karol Marks, charakteryzując w „Kapitale" stosunki społeczne europejskiego feudalizmu, zwraca uwagę na „maski", w jakich wzajemnie ukazują się sobie ludzie tej epoki. Na czym polegała specyfika owych „masek"? Chodziło po prostu o to, że realne sytuacje ekonomiczne, stosunki klasowego panowania i podporządkowania, nosiły skostniały kształt podziału społeczeństwa na stany z wyraźnie zdefiniowanymi zakresami praw i obowiązków. W drabinie hierarchicznej — od ostatniego chłopa pańszczyźnianego do Pana Boga — nie mógł ulec przestawieniu ani jeden szczebel.

A w literaturze? Tu zasada „masek" występuje jeszcze wyraźniej. Każda postać wyrażona jest w kategoriach miejsca, które zajmuje w hierarchii stanowej, szerzej — w całej hierarchii świata. Każdemu miejscu, każdej komórce tego skomplikowanego systemu odpowiada swoisty zespół obowiązków, zespół żądanych rysów. Wady są przeciwieństwem zalet. „Bohater" ma odwrotne odbicie: „anty-bohatera".

Można by przejrzeć całą literaturę tej epoki — od „Pieśni o Rolandzie" poczynając, na tragediach Szekspira kończąc — i wykazać jednolitość konwencji rycerza-bohatera, damy-anioła, nikczemnika, błazna, wiernego sługi etc. Nie tu jednak miejsce na to. Wróćmy do „Otella".

Jaki jest sens tragedii szlachetnego murzyna?

Dlaczego tak łatwo dał się opanować Jagonowi, tak szybko stracił głowę i pozwolił się skłonić do zabójstwa ukochanej kobiety?

Zazdrość? Afrykański brak hamulców? Niepoczytalność?

Znakomity radziecki reżyser, K. Stanisławski, w skreślonej przez siebie schematycznej „partyturze" roli Otella, udziela aktorowi m. in. następujących wskazówek:

„...podsłuchiwanie rozmowy Jagona z Kassjem... W stopniowym narastaniu scena ta jest punktem kulminacyjnym stanu Otella. Tutaj następuje przypływ wściekłości, ale już nie tyle z bólu i cierpienia, ile... **szlachetnego oburzenia na diabelską grzeszność Desdemony.** Tu Otello nie powstrzymuje się, wszystkie klapy są otwarte. **On się nie mści — ale niszczy żmiję, aby uratować przed nią ludzkość.**

Następne sceny z Desdemoną i Emilią są **śledztwem sądowym i wprawiają Otella w coraz większe zdumienie nad bezczelnością i zepsuciem Desdemony.**

Ostatni akt — to **egzekucja:** spokojne, dawno obmyślone, przetrawione w głębi duszy postanowienie egzekucji i wykonanie jej. Jedynie przez mgnienie oka zachwyca się bosko przepiękną maską siedzącego w Desdemonie szatana. Żałuje nie samej Desdemony, lecz swego marzenia i ciała Desdemony". („Rieżissierskij płan Otello", 1945, str. 235 — 236, podkr. moje — W. W.).

Są to wyłącznie praktyczne uwagi, ale autor ich trafił w sedno rzeczy.

Postać Otella zgodna jest z wzorcem osobowym bohatera feudalnego. Jest silny, mężny, wierny państwu, na którego usługach pozostaje. Walcząc pod sztandarami Doży weneckiego, zabił niejednego poganina. W dodatku — ogromnie to ważne — „wywodzi ród ze krwi królewskiej". Nie kochał nikogo, oprócz Desdemony. Desdemonę wielbi bezgranicznie, jest jej wierny. Zasady jego postępowania określa pojęcie „honoru".

„Anty-bohaterem" jest Jago, człowiek nikczemnego stanu i równie nikczemnej duszy. Jest sługą Otella — lecz sługą niewiernym. Nie umie kochać — najwyżej pożąda. Kpi z pojęcia honoru. Postać Jagona będzie dalej omówiona szczegółowiej. Tu wystarczy stwierdzenie, że również „maska" Jagona została zdeterminowana przez jego miejsce w hierarchii.

Kassjo — szlachetny, wierny swemu przełożonemu, pełen galanterii dla kobiet, dbały o „honor" — w zasadzie również odpowiada wzorcowi rycerza.

I teraz — jaką rolę pomiędzy bohaterem, bohaterem pobocznym i antybohaterem odgrywa Desdemona? Jaki jest wzorzec osobowy damy?

Dama kocha. Kocha szlachetnie. Kocha tylko jednego: tego, dla którego porzuciła ojca. Swego męża. Dama jest łagodna, posłuszna i wyrozumiała. Kochając, poświęca się. Od powyższej maski nie wolno odstąpić i Desdemona nie odstępuje:

„Jeżeli serce moje kiedykolwiek
Przeciw miłości jego spiskowało,
Czy to uczynkiem, czy to pożądaniem;
Jeżeli wzrok mój, słuch, lub jakikolwiek
Zmysł mój lubował kiedy w kimbądź innym;
Jeśli go teraz nie kocham wyłącznie,
I nie kochałam zawsze i nie będę
Zawsze kochała, chociażby mnie nawet
Skazał na rozwód z sobą, jak żebraczkę:
To niech nie zaznam pociechy w tym życiu!"

Oto obraz Desdemony, który uzyskuje powszechną aprobatę publiczności teatru „The Globe".

Jak długo tacy są bohaterowie, niezmącona harmonia panuje w tym świecie. Ale oto dowiaduje się czarny generał, że piękna żona go zdradza. Zazdrość? Nie, nie zazdrość: wielki wstrząs świata. Pewien znakomity skądinąd krytyk dziwił się niedawno, że Otello uwierzył nie tylko w fakt zdrady, ale i w niskie tego faktu pobudki. Zdaniem owego krytyka, dopuszczając myśl o zdradzie Desdemony, Otello nie musiał uważać jej za „ździrę" ale mógł np. przyjąć, iż pokochała ona Kassja. O, profesorska naiwności! Przecież pokochanie Kassja przez Desdemonę byłoby takim samym naruszeniem porządku świata tego, jak praktykowanie przez nią zawodu kurtyzany. Z tych czy innych pobudek, Desdemona stała się w oczach męża groźnym dla świata uosobieniem niemoralności. Otello broni zasad feudalnego honoru i te zasady właśnie zaślepiają go, a nie zazdrość. Otello przesłuchuje świadków, sądzi, wydaje wyrok i wykonuje go. Do ostatniej chwili kocha Desdemonę. Desdemona „musi jednakże umrzeć, bo tak samo zwiodłaby innych jeszcze" — powiada Otello przed egzekucją. Otello się nie mści. **Otello przywraca zachwiany porządek świata.** Nie jego wina, że popełnił tragiczną omyłkę. Na zapytanie Lodovica, jak go świat teraz nazwie, odpowiada:

„Może mnie nazwać uczciwym mordercą,
Jeżeli zechce, bom nic nie uczynił
Przez podłość, **wszystko przez miłość honoru**".
(podkr. moje — W. W.)

W Państwowym Teatrze Wojska Polskiego w Łodzi Szletyński znowu zainscenizował „Otella" jako tradycyjną „tragedię zazdrości". Szkoda. W świetle powyższej, dość prowizorycznej analizy, wydaje się, iż znacznie ciekawsza byłaby tragedia feudalnych masek. Pomimo, że Pietraszkiewicz grał doskonale.

III. „LEŻY COŚ WIĘCEJ W ŁONIE PRZYSZŁOŚCI, CO SIĘ DOPIERO MA NARODZIĆ". (Jago)

Poznaliśmy jeden nurt „Otella", ten, który umożliwił tragedię, nurt feudalnych masek, „honoru" i „miłości". Jest jeszcze drugi nurt, niemniej ważny, ten, który wprawił w ruch bezpośrednie sprężyny tragedii. Centralnymi postaciami poprzedniego nurtu byli: bohater i jego dama, Otello i Desdemona. Centralną postacią drugiego nurtu jest „anty-bohater", Jago. W przeciwieństwie do pierwszego, konwencjonalnego, ten nurt nazwijmy (z zastrzeżeniami) realistycznym.

Kim jest nikczemny Jago? Zastosujmy do niego wypróbowany klucz miejsca w feudalnej hierarchii. Jago jest człowiekiem bardzo niskiego stanu, prawdopodobnie dawniej był zwykłym żołnierzem, dzięki swej dzielności został mianowany chorążym, ale dalej już awansować nie może. Aczkolwiek słusznie należał mu się stopień porucznika, ubiegł go mniej zasłużony, za to gładki i dobrze urodzony florentyńczyk Kassjo. Jago jest człowiekiem o dużej inteligencji, sprycie, dowcipie; zna swoją wartość, nic dziwnego zatem, że daje się opanować rozgoryczeniu:

„Nie ma na to środka:
Taki to służby przeklęty porządek:
Awans zależy od łask i protekcji,
A nie od prawa starszeństwa..."

— powiada nauczony doświadczeniem Jago. Jeżeli tak jest, jak mówi, cóż mu pozostaje?

„Nie wszyscy, bracie, możem być panami,
Ale nie wszyscy też panowie mogą
Mieć wierne sługi".

Jago otwarcie wyznaje Rodrygowi, że należy do takich,

„Co, dając tylko pozór wiernych usług
Swym przełożonym, popierają przez to
Własny interes, a porósłszy w pierze,
Nie potrzebują już nikogo słuchać,
Prócz siebie samych".

I dalej:

„Służąc mu, służę li samemu sobie".

Wszelkie nikczemności Jagona prowadzą do jednego celu — do awansu społecznego, którego ten pochodzący z gminu, odważny i inteligentny żołnierz w żaden inny sposób osiągnąć nie może. Intrygi i przestępstwa Jagona w rezultacie przynoszą mu klęskę, ale przecież odmienny mógł być obrót zdarzeń. Przypomnijmy sobie karierę współczesnego Szekspirowi Franciszka Drake, postaci historycznej. Ten rzutki i ambitny plebejusz nie cofał się przed rabunkiem ani morderstwem. Kiedy jednak na czele pirackiej floty wykorzystał sprzyjającą sytuację polityczną i obrócił swój oręż przeciwko hiszpańskiej armadzie, w ojczyźnie nie tylko zapomniane zostały jego zbrodnie, ale królowa Elżbieta nadała mu nawet tytuł baroneta. Czyż więc zuchwały korsarz, Sir Franciszek Drake, nie mógł być autorem cynicznych aforyzmów Jagona: „Cnota! Psu na budę! Od nas samych zależy być takimi lub owakimi. Nasze jestestwo jest ogrodem, a nasza wola ogrodnikiem; jeżeli chcemy w tym ogrodzie siać pokrzywy lub sałatę sadzić... — możność ku temu i środki odpowiednie leżą w woli naszej". Szekspir wkłada te słowa w usta swemu „anty-bohaterowi", chcąc zamanifestować jego odrażający cynizm. Ale dziś umiemy znaleźć w nich coś więcej. To cały światopogląd nowej, nadchodzącej epoki, to ożywczy wicher, zdolny na razie tylko do burzenia, ale i przez to postępowy, że porusza skostniały świat feudalizmu. W/g. słów największego z poprzedników Szekspira, angielskiego dramaturga Krzysztofa Marlowe, był to „ten wicher, który wprawił w ruch cały świat — żądza złota". Żądza złota nie jest najpośledniejszym z motywów postępowania Jagona:

„Tak zawsze z głupców robię sobie kieskę.
Krzywdę bym czynił memu rozsądkowi,
Gdybym czas marnie tracił z takim dudkiem,
I nie korzystał na tym".

Podłość? Cynizm? Zapewne. Ale jedyna możliwość. Ale sytuacja, uwarunkowana historycznie i socjologicznie. Ale jednocześnie jakaś siła i wyższość nad takim Rodrygiem na przykład, szlacheckim synkiem, głupcem, człowiekiem schyłku, który potrafi tylko tracić majątek przodków. Sympatia Szekspira leży raczej po stronie Rodryga. Zbyt przenikliwy jednak jest talent wielkiego realisty, zbyt ostro widzi on przeciwieństwa epoki, nawet gdy usiłuje je zbagatelizować. I to w mało ważnych pozornie epizodach gry, toczącej się między Jagonem a Rodrygiem, widzimy cały upadek jednej potężnej dotąd klasy społecznej, widzimy może nie siły jeszcze, ale w każdym razie już ambicje, rodzące się w łonie innej klasy, która niedługo tamtą zastąpi.

Przypomnijmy: angielski Renesans, okres niesłychanego rozwoju handlu, przemysłu, żeglugi. Wielkie wynalazki i odkrycia. Pauperyzacja chłopstwa, „ogradzanie" ziem przez bogatych hodowców owiec. Bezdomni włóczędzy i szajki bandyckie. Import, eksport, kompanie: wschodnio-indyjska, rosyjska, kilka afrykańskich. Tak krótko scharakteryzowana epoka przełomu rodziła ferment umysłowy. Bacon (1561—1626; Szekspir — 1564—1616) głosi nową naukę, której podstawą jest analiza substancji przyrody, realne doświadczenie — naukę, obalającą odwieczne prawdy średniowiecznych scholastyków. Za nową nauką pójdzie niebawem mieszczańska rewizja ustalonych pojęć moralności, prawa cywilnego etc. Zajrzyjmy do „Otella":

„Miłość — jest jedynie krwi chucią i ustępstwem woli".

To znowu Jago gorszy Rodryga, bluźniąc przeciw zasadom feudalnego światopoglądu, wg którego miłość jest po pierwsze wierną służbą, po drugie — oznaką szlachetnej duszy, po trzecie — manifestacją „honoru" itp. Zgodna z tymi konwencjami jest niewątpliwie miłość tak Otella, jak Desdemony. A Jago nie uznaje tej miłości! Ba, posuwa się jeszcze dalej, również honor niewiele dla niego znaczy:

„Honor jest to istota, której się nie widzi.
I bardzo często bywa tych udziałem
Co jej nie mają".

I znowu: skąd pochodzi ten sceptycyzm? Czy nie należy sądzić, iż wynika on z obfitego doświadczenia pariasa, obracającego się wśród wielkich tego świata. Jago ma wgląd w kulisy wielu spraw, pozornie tylko jasnych i nieskazitelnie czystych:

„Znam ja dobrze obyczaje
Naszego kraju: weneckie niewiasty,
Jawią częstokroć niebu takie figle,
Jakichby mężom pokazać nie śmiały".

Gdy Kassjo biada nad utraconym dobrym imieniem, Jago spokojnie pociesza go: „Dobre imię jest to rzecz nader wietrzna i zawodna; rzecz, którą się częstokroć niezasłużenie nabywa i niewinnie traci". Można sobie wyobrazić, że słuchając tych replik przed trzystu czterdziestu laty, arystokraci w lożach uśmiechali się pogardliwie, plebejski parter wszelako aprobował je bez wątpliwości, umiał bowiem w gorzkich zdaniach Jagona znaleźć ziarno prawdy. Wyrażony w innym miejscu pogląd, oddający rozsądkowi prymat nad uczuciem, bo „poczciwość głupstwo, kiedy chybia celu, którego stara się dosięgnąć", też jest rezultatem społecznej sytuacji Jagona.

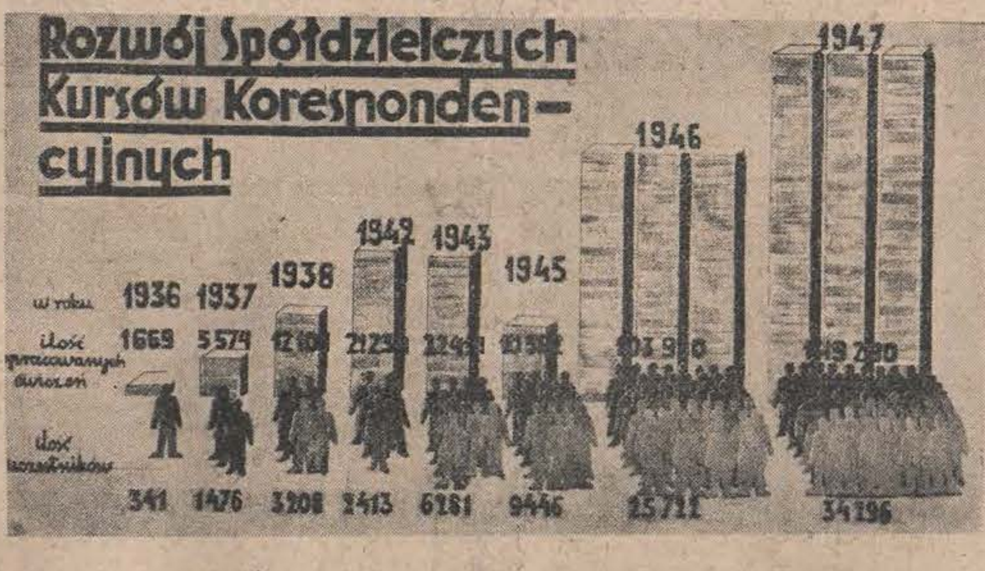
Jago jest człowiekiem o wielkim rozmachu. W scenie z upiciem Kassja i dalej następującymi prowokacjami świadomie dąży do wzniecenia powstania Cypryjczyków (akcenty te zostały, niestety, w łódzkiej inscenizacji zatuszowane) — kto wie, może w odpowiedniej chwili sam by stanął na czele takiego powstania? Jago prowadzi ryzykowną grę; zdaje sobie z tego sprawę, ale cóż ma do stracenia?

„Ta noc ma rozstrzygnąć
Mój los: ze szczętem zwalić mnie lub
dźwignąć".

Zwaliła. Trudno mu współczuć, trudno mieć do niego taką sympatię, jak np. Roman Dyboski, stawiający niegdyś Jagona „poza granicami złego i dobrego". Trzeba jednak stwierdzić, że szekspirowski „anty-bohater" reprezentuje w „Otellu" siły — za mocno by może było: postępu — ale negacji w swoisty sposób twórczej i w owym okresie koniecznej.

Tego wszystkiego w Teatrze Wojska Polskiego nie uwypuklono. Poprzestano na „czarnym charakterze". Plebejusz, dążący do nieosiągalnego awansu, byłby ciekawszy i prawdziwszy. Pomimo, że Borowski grał świetnie.

Dekoracje Axera były zgodne z koncepcją reżyserską. Opracowanie muzyczne Stromengera — skromne. Gra zespołu aktorskiego, poza dwiema wymienionymi kreacjami, średnia.



Wiesław Jażdżyński

Szkoła przyszłości

BĘDZIE to opowieść o dziesiątkach tysięcy młodzieży chłopskiej, częściowo i drobnomieszczańskiej, która nie tylko w latach międzywojennych, ale jeszcze i dziś walczy twardo o awans społeczny.

Będzie to równocześnie opowieść o najliczniej chyba w kraju obsadzonej przez młodzież uczelni — Spółdzielczych Kursach Korespondencyjnych.

W MIĘDZYWOJENNYCH LATACH

Wśród wielu, wybitnych nieraz, spółdzielców, panował — szczególnie w międzywojennych latach — pogląd, że kształcenie korespondencyjne nie ma w Polsce szans większego rozwoju, jak np. w Stanach Zjednoczonych, czy w zachodniej i północnej Europie, gdzie setki tysięcy ludzi przechodziło i przechodzi drogą korespondencyjną wszystkie szczeble nauczania do uniwersyteckiego włącznie.

Brak tych szans argumentowano między innymi niskim stanem kultury i cywilizacji w Polsce, złym funkcjonowaniem poczty, fatalnym stanem dróg itp.

Za jedynie skuteczne uważano kształcenie spółdzielcze metodą ustną, a więc na dorywczo organizowanych kursach, nie trwających zazwyczaj dłużej niż 1—2 tygodnie. I chociaż urządzano dosyć często takie kursy — to jednak nigdy nie obejmowały one przed wojną większej liczby uczestników.

Uruchomione w latach międzywojennych Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne mimo czynnego poparcia takich przedstawicieli nauki jak Ludwik Krzywicki, Stanisław Rychliński, czy Władysław Wolert, nie zyskały na ogół zaufania wybitnych spółdzielców.

Cała „uczelnia" mieściła się w kącie pokoju zajmowanego przez jeden z wydziałów „Społem". Stała tam szafa, w niej trochę źle powielonych, prawie nieczytelnych skryptów, tekturowe pudełko z kartoteką uczestników kursów i kilka teczek pęczniejących od nadmiaru przysyłanych ze wsi, osad i miasteczek wypracowań. Leżały te wypracowania nie poprawione niekiedy całe miesiące. Lekceważona „uczelnia" nie miała jeszcze własnego personelu, a urzędnicy z innych działów „Społem" poprawiali z trudem przez młodzież opracowane zagadnienia — jedynie dorywczo.

A jednak liczba uczestników i ilość opracowanych przez nich ćwiczeń nieustannie rosła.

Jeżeli w roku 1936 — 341 uczestników Kursów nadesłało 1.669 ćwiczeń, to rok następny wykazał już 1.476 uczniów i 5.574 opracowanych tematów. W roku 1938 liczyła kartoteka 3.208 nazwisk młodzieży — w olbrzymiej większości chłopskiej — a w teczkach spoczęło — 12.104 przepracowanych tematów.

W „Młodym pokoleniu chłopów" (tom III) czytamy: „Lepszą korzyść fachową odnieśliby członkowie, gdyby były przerabiane kursa rolnicze przez korespondencję. Choć 25% byłoby z takiej nauki korzystało w całej pełni i z czasem świeciliby przykładem w wiosce, a tym samym podnosili poziom kulturalny i gospodarczy wsi a może i okolicy".

Niepopularne, lekceważone wśród spółdzielni nauczanie korespondencyjne, zyskało uznanie na setkach wsi, osad i miasteczek. Nadchodziły stamtąd, zza rogatek wielkich miast — tysiące listów z ćwiczeniami, tysiące próśb o ocenę, pomoc, radę, o nowe skrypty do dalszej nauki. Dlaczego? Dlatego, że Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne stanowiły jeden z nielicznych, dostępnych chłopskiej młodzieży środków awansowania społecznego. Jakież bowiem inne szanse awansowania mieli młodsi chłopi w ostatnich latach przed drugą wojną światową?

Przez średnie i wyższe szkoły? Chyba nie, skoro docierał tam nieznaczny procent młodzieży wiejskiej. I na pewno nie przez Przysposobienie Rolnicze — skoro z całego woj. Kieleckiego kształciło się tu w roku 1936 zaledwie około 300 młodych. Odpływ do miast i przemysłu? Także nie. Przecież w roku 1938 ilość zbędnej ludności na wsi dosięgała 8 milionów. Na tle wzrastającego zadłużenia rolnictwa, (5 miliardów w 1934 r.) gwałtownego spadku zakupu maszyn i narzędzi rolniczych, obniżenia wydajności z ha, wreszcie procesu proletaryzowania się średnio i małorolnych gospodarstw, każda szansa wyrwania się z dna chłopskiej nędzy miała dla młodzieży specjalne znaczenie. I te szanse dawało korespondencyjne kształcenie.

Było tanie, nie wymagało kosztownych przejazdów ani „pobytu na kursie" — na który w nieupieniężnionej gospodarce chłopskiej tylko wielomorgowcy mogli sobie pozwolić. Przy pomocy nauczyciela ze szkoły powszechnej, lub z uniwersytetu ludowego, siedząc po nocach nad źle odbitymi skryptami, można było uzyskać posadę urzędnika najniższej kategorii w spółdzielni rolniczo-handlowej, czasem pracę buchaltera w kasie Stefczyka, niekiedy awansowało się na pisarza gminnego, lub rachmistrza na wiejskiej poczcie. Jedyny, dostępny chłopskiej młodzieży awans!

Cóż jeszcze można dopowiedzieć! Chyba to, że pęczniały teczki od tysięcy prac nadsyłanych przez walczącą o wyjście ze wsi młodzież. Tekturowe pudełko nie mieściło już rosnącej kartoteki uczestników. Ale skrypty w większej ilości, wskazówki, czy instruktorzy nie docierali do wsi. Brakło kultury, cywilizacji, poczty, dobrych dróg. Dla tych na dole, czy dla tych na górze?

PO WOJNIE

Ciekawe, czy któryś z 20-stu literatów wysłanych ostatnio przez „Czytelnika" na wieś dla zbadania tamtejszego życia społeczno-kulturalnego zauważył, że na tysiącach wiosek, osad i miasteczek pracuje w ramach Spółdzielczych Kursów Korespondencyjnych blisko 13.000 jednostek szkoleniowych, skupiających ponad 36,000 młodzieży, przeważnie chłopskiej i 3.000 nauczycieli szkół średnich i powszechnych, jako przodowników grup fachowych, spółdzielczości uczniowskiej i przysposobienia spółdzielczego dla młodzieży zorganizowanej.

Jeżeli nie — to szkoda, bo jeżeli myśli się rzeczywiście o podniesieniu społeczno-kulturalnym i gospodarczym wsi, to trzeba widzieć wszystkie drogi rozwiązujące choćby w części zagadnienie, trzeba poznać i tę szkołę.

Dziś mieści się ona z trudem w kilkunastu pokojach. Setki teczek pęcznieje od nadsyłanych wypracowań z terenu. W roku 1946 przysłano prawie 104.000, w 1947 już 150.000.

I te wypracowania nie leżą już więcej niepoprawione. Nieliczna grupa nauczycieli — spółdzielców i kilku studentów korektorów. Od rana do nocy poprawiają i oceniają nadchodzące masowo ćwiczenia.

Od rana do nocy pracuje również sekcja wydawnicza i kolportaż. W roku 1945 wydano drukiem i powielono 113.902 wykładów, w roku 1946 — 235.864, a w 1947 — 329.985 wykładów.

Podaliśmy tu niektóre tylko cyfry wskazujące na niebywały dotąd rozrost Spółdzielczych Kursów Korespondencyjnych.

Przyczyn tego rozwoju nie będziemy szukać w zarządach i dyrekcjach. Byłoby to cokolwiek trudne, szczególnie, że daleko łatwiej tłumaczy się on znowu przy pomocy młodzieży. Mówmy zatem o niej.

Jakaż to jest młodzież?

„W zeszłym roku ukończyłam klasę siódmą — pisze Stefania Tajchman ze wsi Wysoka, pow. Łańcuckiego,—ale nie mam możliwości kształcić się poza domem. Więc korzystam z ogłoszenia, które wyczytałam w gazecie „Wici" o możliwości przerobienia kursu spółdzielczo - korespondencyjnego i usilnie proszę o wpisanie mnie na kandydatkę tego kursu".

Ustrój powojennej Polski Ludowej wyrzuca wprawdzie ze wsi z roku na rok coraz to więcej młodzieży chłopskiej na średnie i wyższe szkoły, ale list Stefanii Tajchman przypomina równocześnie, że jeszcze są młodzi chłopi, dla których wiejska szkoła powszechna stanowi najwyższe piętro wykształcenia, skąd przecież nie ma prawie żadnych perspektyw na określoną zawodowo pracę.

Na tej właśnie młodzieży osadziły się mocno Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne. Właśnie tym, którzy nie mogą awansować wzdłuż drogi wiodącej od szkoły powszechnej poprzez średnie — do wyższej uczelni, dają szanse na konkretnie zawodową pracę. Nie tylko dziewczyny ze wsi Wysokie, ale tysiące innych młodych chłopów z samego dna biedy wiejskiej znajdzie jasno wyznaczoną pracę i co równie ważne — otrzyma określoną rolę społeczną.

Na progu roku 1948 otrzymało kierownictwo kursów list od kierownika zespołu ze wsi Mroczeń (woj. poznańskie). Czytamy w nim: „Pomimo, że już od 1.12.47 rozpoczęliśmy pracę w zespole, zgłaszają się ciągle nowi, którzy usilnie proszą o przyjęcie ich. Są to ludzie z dalszych wiosek i dowiedzieli się o kursach już po terminie. Dwóch ma około 3 km drogi, a inni nawet do 6 km a jednak pragną się uczyć. Z prawdziwym podziwem patrzymy na nich, jak przychodzą wieczorem nieraz po parę kilometrów, pomimo deszczu i błota na drodze, a jednak uśmiechnięci..."

Młodzież chłopska z dołów społecznych walczy twardo o miejsca w spółdzielniach gminnych Z. S. Ch., w placówkach terenowych „Społem", o funkcje przodowników życia gospodarczo - społecznego wsi. Tam, gdzie nie ma dobrych dróg i linii kolejowych, po których mogliby się wyprawiać literaci z odczytami, chodzi nieraz całe kilometry w pogody i deszcze młodzież chłopska do urzędów pocztowych z wypracowaniami i oczekuje na skrypty do dalszej nauki, aby związać się z ustrojem, wypełnić jego luki nawet tam, gdzie z kulturą i cywilizacją jest na razie kiepsko. No, bo ustrój musi być wszędzie.

Jeszcze bardzo często pozbawieni fachowego instruktora na miejscu, zdani na samych siebie, obarczeni pracami gospodarskimi — uczestnicy kursów zdobywają się na uśmiech.

Stają nawet do współzawodnictwa w nauce.

„Wysyłając wypracowanie przedmiotu „krótki zarys spółdzielczości" prosiłem o wysłanie mi następnego przedmiotu, a w międzyczasie przepracowałem przedmiot towaroznawstwa, przy wysyłce którego ponowiłem swą prośbę, gdyż nie pozostawało mi nic do opracowania. Pomijam stratę czasu (już ponad dwa tygodnie), ale ponoszę stratę materialną, ponieważ założyłem się z koleżanką, że ją wyprzedzę z wypracowaniami, a tymczasem ja siedzę bezczynnie, a ona jak na złość otrzymuje następne przedmioty i dotychczas jest naprzód o sześć wykładów. Uprzejmie proszę o przyjście mi z pomocą w tych zawodach i przysłanie mi jak najwięcej wykładów". Tak pisał do kierownictwa kursów jeden z ich uczestników Schwarz Franciszek z jędrzejowskiego.

Ale współzawodnictwo trwa już od 1945 roku przede wszystkim w zespołach. Systematyczność w pracy, poziom nadsyłanych ćwiczeń, zespołowa organizacja nauki i jej rezultaty stanowią o przyznaniu premii, a premia to nie tylko obóz wypoczynkowy dla grupy, wycieczka po kraju. To także aparat radiowy na zabitej deskami wiosce. W roku 1947 zespół wiciowy z Tutkowic, pow. Krosno zakupił, dzięki premii, pierwszy rodioodbiornik i założył pierwszą w dziejach tej wsi świetlicę.

W bieżącym roku kilka tysięcy zespołów walczyć będzie o kilkadziesiąt radioodbiorników dla swoich wsi. Oznacza to konkretną możliwość powstania nowych świetlic. A dla ożywienia kulturalno-społecznego życia wsi to sprawa nie błaha, prawda?

Jest jeszcze inne, bardziej zasadnicze dla społeczno-gospodarczej funkcji szkoły, znaczenie współzawodnictwa. Gwarantuje ono mianowicie wysoki poziom kształcenia.

Nieprawda?

Jakże — nie, kiedy już w roku 1946 na 227 zespołów składających egzaminy, 107 uzyskało wynik b. dobry, 94 dobry. Komisję egzaminacyjną stanowili przecież przedstawiciele kuratoriów, Związku Nauczycielstwa Polskiego, kierownicy działów społeczno-wychowawczych Z. S. Ch. i Związku Rewizyjnego, oraz przedstawiciele spółdzielczości z terenu.

W maju bieżącego roku stanie przed nimi ponad 9.500 młodzieży do egzaminów końcowych. Blisko 10.000 młodych ludzi w wieku od 16 do 30 lat skończy naukę na kursach fachowych, przysposobienia spółdzielczego, kursach dla instruktorów i spółdzielczości uczniowskiej!

Idzie od dalekich wsi, osad i miasteczek potężne zapotrzebowanie młodzieży na dającą się praktycznie zużytkować wiedzę. I to jest dobre, bo rzeczywistość gospodarcza kraju, szczególnie na odcinku spółdzielczym, wymaga odpowiednio przygotowanych młodych przodowników.

A jak wygląda rzeczywistość?

Z OŁÓWKIEM W RĘKU

Czy znalazłby się dzisiaj ktoś, kto by zaprzeczył następującym faktom?

1. Blisko 3.000 uniwersalnych Spółdzielni Gminnych Związku Samopomocy Chłopskiej, tysiące zarządów gminnych, setki powiatowych i wojewódzkich potrzebuje idącej w dziesiątki tysięcy armii wyspecjalizowanych w najrozmaitszych działach produkcji, armii przodowników.

2. W miarę specjalizowania się produkcji rolnej zapotrzebowanie to będzie wzrastać.

3. Organizacje młodzieżowe i partie polityczne czekają na kierowników referatów spółdzielczych.

4. Na 210.000 ludzi pracujących w spółdzielczości na terenie kraju 30—40%, a więc 60.000—80.000 wymaga systematycznego przeszkolenia.

5. Gimnazja i licea spółdzielcze, szkoły Przysposobienia spółdzielczego i wyższe uczelnie promowały w ciągu ostatnich trzech lat zaledwie kilka tysięcy abiturientów.

6. Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne kształcą w bieżącym roku ponad 36.000 młodzieży.

Nikt chyba tym faktom nie zaprzeczy, nie zaprzeczy także społecznej potrzebie i konieczności istnienia kształcenia spółdzielczego.

Może natomiast próbować stawiać zarzuty, np. twierdzić, że nie ma jeszcze dostatecznej liczby nauczycieli i pieniędzy na tego typu nauczanie. Tak? No, to bierzmy znowu ołówek do ręki i liczmy.

Ile kosztuje kurs ustny?

Żeby przeszkolić 20.000 ludzi na miesięcznych kursach ustnych, trzeba zorganizować 130 ośrodków nauczania, zmobilizować 780 wykładowców i wydać około 700.000.000 złotych.

Korespondencyjne kształcenie jest 7 razy tańsze i wymaga 6 razy mniejszej liczby nauczycieli niż ustne. A nauczycieli - spółdzielców przecież brak.

Więc może inny zarzut, ten mianowicie, że w kształceniu korespondencyjnym niemożliwe jest uzyskanie wysoko kwalifikowanych techników spółdzielczych.

I tu jednak odpowiedź nie nastręcza kłopotów.

Wszelkie kursy ustne charakteryzuje duża aktywność wykładowcy, mała — uczestników.

Poza tym brak podręczników — natomiast studiujący korespondencyjnie opracowuje zagadnienia sam. Jest więc zmuszony do aktywnej postawy. Mniej systematyczny, słabszy intelektualnie członek zespołu zawsze odpada. W ten sposób, drogą automatycznej eliminacji podnosi się poziom. Potwierdzają to wyniki egzaminów.

Korespondencyjnemu kształceniu można postawić jeden chyba słuszny i poważny zarzut. Niedomaga ono organizacyjnie. Brak jednolitego programu nauczania, dostosowanego do zmienionych po wojnie zadań spółdzielczości, brak odpowiednio opracowanych podręczników, wreszcie stale jeszcze niedostateczna li-



Wykłady w Spółdzielczych Kursach Korespondencyjnych

czba nauczycieli szkół podstawowych i średnich — przodowników w poszczególnych zespołach — sprawiają, że Spółdzielcze Kursy Korespondencyjne nie są jeszcze w tej chwili wielką szkołą przyszłości. A przecież jasne jest, że muszą nią być.

Jak to zrobić?

SZKOŁA PRZYSZŁOŚCI

Czas zerwać z tradycją pracujących poza organizacjami młodzieżowymi samouków. W spółdzielczym nauczaniu korespondencyjnym powinna uczestniczyć młodzież zorganizowana.

Obecnie uczy się w 2387 zespołach przysposobienia spółdzielczego i spółdzielczości uczniowskiej 23.935 uczestników; — 434 zespołów zorganizowanej młodzieży („Wici" — 133 zespoły, TUR — 48, ZWM — 29, zespoły szkolne — 170, ZHP, partie polityczne i inne — 34 zespoły). Jak na pół milionowe „Wici", szybko rozwijający się po wsiach ZWM — to stanowczo za mało. No, a jest przecież Służba Polsce!

W zespole łatwiej się uczyć niż w pojedynkę, co nie oznacza przecież, że zespołom nie potrzeba żadnej pomocy. Właśnie — potrzeba. Któż może ją dać? Nauczyciel szkoły średniej i podstawowej. Zmobilizowanie jak największej liczby nauczycieli do opieki i kierowania pracą łatwo uchwytnych zorganizowanych zespołów młodzieżowych usprawni i ożywi całe korespondencyjne kształcenie.

I jeszcze jedno. Wszędzie tam, gdzie istnieje duża 8-klasowa szkoła podstawowa, lub średni zakład naukowy jest możliwość zorganizowania nauki spółdzielczej na poziomie średnim.

„Apetyty moich chłopców zaostrzyły się" — pisze jeden z przodowników zespołu nauczycieli — „chcieliby w przyszłości przejść kurs o jeszcze wyższym poziomie".

Właśnie nikt inny — tylko nauczyciel może selekcjonować ku górze zdolniejszą młodzież.

Wciągnięcie nauczycieli do tej pracy jest jednak uwarunkowane. Muszą mieć oni po pierwsze odpowiednie biblioteki — arsenały wiedzy spółdzielczej, po drugie — otrzymać wystarczające wynagrodzenie.

Jak to z kolei zrobić?

Nie ma już chyba dziś w Polsce takiej gminy, gdzie by nie było Spółdzielni Związku Samopomocy Chłopskiej. Nie ma chyba dziś osady, czy małego miasteczka bez spółdzielni. Tu właśnie można uruchomić co miesiąc odpowiednie kredyty na kształcenie spółdzielcze.

A biblioteki?

Przy każdym Zarządzie Powiatowym Z. S. Ch. Tu też powinien pracować inspektor rejonowy Spółdzielczych Kursów Korespondencyjnych. Z nim to naradziliby się nauczyciele-przodownicy zespołów i dyskutowali najistotniejsze problemy nauczania.

Spostrzeżenia terenowych działaczy wypełnią kalendarz uwag...

A kalendarz?

Stanowiłby jeden z podstawowych elementów, na których oprzeć się ma nowy program nauczania. Opracuje go już nie jeden czy kilku przemęczonych pionierów korespondencyjnego nauczania, ale cały sztab profesorów wyższych uczelni wespół z młodzieżą szkół wyższych.

Dochodzimy do bodajże najważniejszego zagadnienia.

Wiadomo, że nie mamy jeszcze w kraju środków na masowe budowanie szkół spółdzielczych. Ale na zbudowanie ośrodka naukowo-badawczego dla celów szkolenia spółdzielczego pieniądze znaleźć się powinny.

Spróbujmy wyobrazić sobie działalność takiego centralnego ośrodka szkolenia spółdzielczego.

Pod okiem profesorów wyższych uczelni, pracują setki asystentów i korektorów. Są to studenci Wydziałów Spółdzielczych, gospodarstwa wiejskiego, ekonomiści.

Dostają oni bogaty materiał z terenu, analizują go i wypełniają wnioskami kalendarze uwag z poszczególnych zakresów spółdzielczości. Na podstawie listów, ankiet, wypracowań dochodzą do istotnych potrzeb uczącej się młodzieży. Na takiej podstawie pisane przez naukowców podręczniki spełniają należycie swoją rolę.

W centralnym ośrodku szkolenia spółdzielczego połączy się element naukowych badań z procesem kształcenia a setki młodych spółdzielców odbędą gruntowną praktykę. Powstanie i rozrośnie się ekipa naukowców — praktyków powiększona przez wyselekcjonowaną od dołu zdolniejszą młodzież. Z czasem uzyska się sztab — potężną armię spółdzielczą...

Kończymy opowieść o awansującej jeszcze dziś z trudem młodzieży z dalekich wsi, osad i miasteczek.

Równocześnie kończymy opowieść o najliczniej w kraju obsadzonej przez młodzież uczelni — o Spółdzielczych Kursach Korespondencyjnych.

Nie twierdzimy przecież, że jest ona panaceum, uniwersalnym i wystarczającym środkiem zaradczym na skierowanie do konkretnych zadań społeczno-kulturalnych i gospodarczych setek tysięcy młodzieży chłopskiej i drobnomieszczańskiej.

Twierdzimy natomiast, że jest ona jednym z bardzo skutecznych i odpowiednich dla najbiedniejszych — środków rozwiązujących to zagadnienie.

I tu się kończy rola publicysty. Niech mówią teraz spółdzielcy i pedagodzy.

Wiesław Jażdżyński

Witold Łukaszewicz

Towarzystwo Demokratyczne Polskie

(1832 – 1862)



Wiktor Heltman
(Zbiory Bibl. Nar. w Warszawie. — Biblioteka Rapperswylska).

Śledząc rozwój ruchu niepodległościowego i społecznego na ziemiach polskich w latach 1832—1848 nie sposób jest pominąć milczeniem działalności Towarzystwa Demokratycznego Polskiego. Powstało ono jako protest lewicy emigracji polskiej we Francji przeciw zbyt ostrożnej polityce lelewelistów i czartoryszczyków w sprawach, związanych z ustrojem społeczno-politycznym przyszłej Polski. Przywódcy tej lewicy: Tadeusz Krępowiecki, ksiądz Kazimierz Aleksander Pułaski, Adam Gurowski, Jan Nepomucen Janowski i Ignacy Płużański, byli klubiści warszawscy z czasów powstania listopadowego, żądali od Komitetu Narodowego Polskiego — Joachima Lelewela, aby wypowiedział się zdecydowanie za usamowolnieniem i uwłaszczeniem włościan oraz zacieśnił swe związki z rewolucjonistami różnych narodów. Gdy to nie nastąpiło, radykalna myśl demokratyczno-republikańska poszła własnym torem, wypisując na swym sztandarze nieśmiertelne odtąd słowo: lud. 17 marca 1832 r. powstało T-wo Dem. Polskie, liczące zrazu zaledwie 22 zapalonych demokratów, głównie członków tajnego ruchu rewolucyjnego t. zw. węglarzy albo karbonarów. Był to fakt niezmiernie doniosły w dziejach tułactwa popowstaniowego. T-wo postawiło sobie za cel w „Akcie założenia" skupienie w swych szeregach wszystkich zwolenników rewolucji społecznej w Polsce. Przywódcy T-wa należeli do najbliższych współpracowników babuwisty Filipa Bounarottiego, sainsimonisty Bucheza, robespierrysty Godfryda Cavaignaca, wybitnych węglarzy francuskich, kierujących podziemiem rewolucyjnym w Europie. To też związki z karbonaryzmem nadawały kierunek poczynaniom T-wa w pierwszym trzyleciu jego działalności, a najwybitniejszą rolę odgrywali w organizacji ludzie z otoczenia Tadeusza Krępowieckiego, przywódcy węglarstwa polskiego na emigracji. Szczególnie silnie była akcentowana w odezwach T-wa wiara we wzajemną pomoc ludów w przyszłej rewolucji przeciw despotycznym tronom i wiązanie z tą pomocą odrodzenia Polski na zasadach pełnej równości politycznej i społecznej wszystkich obywateli.

PIERWSZY OKRES DZIAŁALNOŚCI TOWARZYSTWA 1832—1836

W rozwoju organizacyjnym T-wa Dem. Polskiego zaznaczają się trzy wyraźne okresy. **Pierwszy obejmuje lata 1832—1836.** Cechują go: ożywiona propaganda demokratyczna po zakładach emigracyjnych, zaciekła walka z lelewelistami i czartoryszczykami, prześladowanie ze strony władz francuskich, rozterki w kierowniczej sekcji paryskiej T-wa, tworzenie form organizacyjnych, wreszcie przeniesienie kierownictwa organizacji z Paryża do Poitiers. W tym czasie opuszczają szeregi T-wa trzej jego założyciele: Krępowiecki i Pułaski, skreśleni za brak subordynacji zarządzeniom Sekcji Centralnej Paryskiej i Adam Gurowski, który zdradził sprawę, przechodząc na stronę caratu. Nie osłabiło to wszakże prężności ideologicznej i organizacyjnej T-wa. 25 listopada 1834 r. Sekcja Centralna Paryska T-wa utraciła kierownictwo organizacji na rzecz najliczniejszej i najruchliwszej sekcji Poitiers, która z wielką energią przystąpiła do ułożenia Ustawy i opracowania zasad nowego Manifestu. Przyjęta w czerwcu 1835 Ustawa uznawała niepodległość Polski i demokrację za najważniejsze cele Tow. Dem. Polskiego, powierzając losy organizacji w ręce t. zw. Centralizacji, czyli komitetu wykonawczego, złożonej początkowo z 9, a później 5 osób, wybieranych w głosowaniu tajnym przez wszystkich członków — demokratów. Pierwsza Centralizacja zebrała się na początku 1836 r. i składała się z ludzi energicznych, zdecydowanych zwolenników rewolucji społecznej jak J. N. Janowski, Tomasz Malinowski, Wiktor Heltman, Robert Chmielewski, Adolf Chrystowski, Henryk Jakubowski, Aleksander Molsdorf, Lucjan Zaczyński. Najwybitniejszymi wśród nich byli: — zdolny organizator Malinowski oraz utalentowany publicysta i główny ideolog T-wa Heltman.

Centralizacja znalazła się odrazu wobec poważnych trudności, grożących rozbiciem T-wa. Lata 1835—37 były najcięższe w życiu organizacji, którą usiłowali rozsadzić od wewnątrz leleweliści z Karolem Różyckim i Walentym Zwierkowskim na czele, zakonspirowani w ponadpartyjnym, mafijnym Zw. Dzieci Ludu Polskiego. Podejmowali oni kilkakrotnie próby połączenia T-wa ze szlachecką radykalną Konfederacją Narodu Polskiego, a później z „półśrodkowym" Zjednoczeniem Emigracji Polskiej. Poparły te usiłowania sekcje w Londynie, Brukseli, Poitiers, Tours, Fontainebleau i paryska „Panthéon". Zanosiło się na załamanie dotychczasowej linii ideologicznej i taktycznej Tow. Dem. Polskiego, które miało wyrzec się haseł ludowych na rzecz kompromisu ze szlachetczyzną emigracyjną i krajową. Centralizacja poitierska, zasilona w r. 1837 przez niestrudzonego demokratę Wojciecha Darasza, uporała się jednakże z tą wewnętrzną szlachecką dywersją i przeprowadziła czystkę T-wa, usuwając zeń ponad 600 osób. Najważniejszą jednakże zasługą Centralizacji było opracowanie, przedyskutowanie z sekcjami i przyjęcie zasad nowego Manifestu, ogłoszonego 4 grudnia 1836 r. Nakreślał on wyraźnie drogi postępowania T-wa na przyszłość i wywarł olbrzymi wpływ na ukształtowanie się myśli politycznej na emigracji i w kraju w latach 1837—1848. W przeciwieństwie do „Aktu Założenia z 17 marca 1832" Manifest kładł nacisk główny na siły własne narodu w walce o niepodległość, odstępował dalej od zasady „iż ziemia i jej owoce do całego narodu należą", uznając własność indywidualną. Było to wyraźne ustępstwo na rzecz burżuazji i postępowej szlachty. Manifest akcentował głównie zasadę ludowładztwa w sformułowaniu: „Wszystko dla ludu, wszystko przez lud". Każdemu człowiekowi przyznawał prawo do szczęścia i do korzyści społecznych w miarę pracy i zdolności, uważał przywilej za pogwałcenia prawa i natury, a winą za upadek powstań narodowych obciążał szlachtę, która nie chciała usamowolnienia, uwłaszczenia i równouprawnienia ludu. Manifest zdobył uznanie najwybitniejszych teoretyków demokracji europejskiej, a dla członków Towarzystwa stał się polityczno - społeczną ewangelią. Zasady Manifestu były z kolei rozwijane i pogłębiane przez Centralizację w tzw. „Okólnikach", „rozbiorze kwestii", w prasie polemicznej, satyrycznej i naukowej jak „Demokrata Polski", „Pszonka", „Pismo T-wa Demokratycznego Polskiego", „Przegląd Dziejów Polskich", „Pamiętnik Towarzystwa Dem. Polskiego", polityczno-literacki „Noworocznik Demokratyczny" (1842/43) i inne.

DRUGI OKRES DZIAŁALNOŚCI TOWARZYSTWA 1837 — 1846

Okres drugi, najczynniejszy, działalności T-wa Dem. Polskiego obejmuje lata 1837 — 1846. Znamionuje go przeniesienie propagandy i konspiracji demokratycznej do kraju w celu przygotowania ludu oraz postępowych elementów szlacheckich do powstania i przebudowy społecznej przyszłej Polski. Autorytet Centralizacji wzrósł, jednota organizacyjna wzmocniła się, szeregi powiększyły się, z kraju wyparto ostatecznie przemożny dotychczas wpływ lelewelistów. Wojciech Darasz i Wiktor Heltman wciągnęli do swej roboty spiskowej byłych zaliwszczyków i wybitnych działaczy z rozkładającego się wskutek aresztowań w zaborze austriackim i rosyjskim Stowarzyszenia Ludu Polskiego, którzy schronili się do Francji. Z Galicją i Krakowskim nawiązano łączność spiskową za pośrednictwem Adolfa Zaleskiego i Seweryna Goszczyńskiego, Poznańskie zorganizował dzielny demokrata, wysłannik Centralizacji, ksiądz Walery Breański, Królestwo Polskie zaś pozostający we współpracy z Heltmanem Wincenty Mazurkiewicz.

Ruszyli się emisariusze Centralizacji, która dla sprawniejszego działania przeniosła się w listopadzie 1840 r. do Wersalu, aby być bliżej Paryża w chwili groźnego konfliktu między Francją a obozem Św. Przymierza — z racji sprawy wschodniej. Licząc na możliwość wojny Centralizacja szkoliła oficerów emigrantów na specjalnych kursach w Paryżu, które prowadzili od 1842 r. Ludwik Mierosławski i Józef Wysocki. Największy wpływ zdobyło Tow. Dem. Polskie w Księstwie Poznańskim, gdzie ksiądz Breański, Tomasz Malinowski, Alcyato i Heltman wciągnęli do roboty spiskowej miejscowych liberałów, jak Karol Libelt, Jędrzej Moraczewski i inni. Powstał tam tajny Centralny Związek Poznański, zasilony wydatnie przez konspiratorów uciekinierów z Królestwa Polskiego czyli tzw „młodzież kartelową": Henryka Kamieńskiego, Edwarda Dembowskiego, Władysława Dzwonkowskiego i innych, grupujących się wokół warszawskiego „Przeglądu Naukowego". Wzmogła się pod ich wpływem propaganda wśród rzemieślników i chłopów, powstało skrajnie radykalne ugrupowanie rewolucyjne Związek Plebejuszy



Jan Nepomucen Janowski
(według fotogr. w zbiorach Biblioteki Narod. w Warszawie. — Bibl. Rapperswylska).

z księgarzem Walentym Stefańskim na czele. W roku 1843 powstał Centralny Komitet Poznański, mający w porozumieniu z Centralizacją wersalską kierować akcją spiskową w trzech zaborach. Jednocześnie ujawniły się rozdźwięki między skrajnymi działaczami w kraju, którzy parli do natychmiastowego powstania, a Centralizacją odraczającą walkę zbrojną na czas odpowiedniejszy. Agitacja za powstaniem Związku Plebejuszy oraz tendencje autonomicznego działania, wniesione przez „młodzież kartelową", zagroziły Centralizacji utratą wpływu kierowniczego w Poznańskim. Przeciwnicy powstania: T. Malinowski i H. Jakubowski musieli ustąpić z Centralizacji, której ster ujęli Heltman, Mierosławski i Wysocki. Termin wybuchu powstania w trzech zaborach ustalono na luty 1846 r.

Znane są dobrze losy tego powstania w Poznańskim, Krakowskim, Galicji i Królestwie. Walka orężna zawiodła pokładane w niej nadzieje. Powstanie 1846 r. było natomiast triumfem społecznej propagandy Tow. Dem. Polskiego, czego najlepszym wyrazem stał się głośny Manifest Rządu Narodowego, wydany w Krakowie dn. 22 lutego 1846 r.

Spotkał się on z entuzjastycznym przyjęciem ze strony postępowo myślących żywiołów demokratycznych w kraju i zagranicą oraz zyskał uznanie Marksa i Engelsa.

TRZECI OKRES DZIAŁALNOŚCI TOWARZYSTWA 1846 — 1862

Lata 1846—1862 obejmują trzeci ok. działania T-wa. Wpływ T-wa w kraju po wydarzeniach 1846 r. zmalał, zwiększył się natomiast wśród emigracji. Zwalczające dotychczas Centralizację: Demokracja XIX w., Lud Polski, Zjednoczenie, połączyły się z T-wem Dem. Polskim na zasadach manifestu krakowskiego. Weszły wskutek tej fuzji do T-wa elementy o odmiennej postawie ideologicznej, które naruszyły dotychczasową linię programową organizacji. Toteż wkrótce nastąpiły rozłamy, które podobnie jak w l. 1835 — 1837 zagroziły istnieniu T-wa. Walka Centralizacji z tą wewnętrzną opozycją stała się powodem odsunięcia T-wa od kierowniczej roli na emigracji i w kraju podczas Wiosny Ludów. Członkowie Centralizacji: Heltman i Darasz zeszli do roli obserwatorów lub postronnych doradców wobec krajowych działaczy w Poznańskim, Krakowskim i Galicji w roku 1848.

W lipcu 1849 r. Centralizacja została wypędzona z Paryża przez reakcyjny rząd francuski za popieranie żywiołów rewolucyjnych i musiała szukać schronienia na ziemi angielskiej aż do r. 1862, kiedy T-wo uległo rozwiązaniu. W Londynie kierowali pracami upadającego T-wa głównie: Darasz i Stanisław Worcell, którzy ulegli z czasem całkowicie wpływom włoskiego rewolucjonisty — mistyka Józefa Mazziniego.

Schodzące z widowni emigracyjnej T-wo spełniło zasadniczo swą misję: uświadomiło w masach zasady demokracji ludowej i od ich urzeczywistnienia uzależniło niepodległy byt Polski.

Józef Pogan

TYPY WIEJSKIE

Porównując życie wieśniaków w podkrakowskiej okolicy i na Górnym Śląsku, dostrzega się wielkie różnice wad i zalet ludzkich, usposobień, świadomości społecznej poglądów na różne przejawy życia i tp. Wiadomo — różnice te są wynikiem odmiennych warunków życiowych, które siłą rzeczy wyciskają swe piętno na kształtowanie się człowieka. Innym zgoła jest lud w nędznej, górzystej okolicy, innym na urodzajnych nizinach, innym w okręgu przemysłowym.

I.

„KUŁAKI i DZIADY"

A we wsi podkrakowskiej?—Tam zupełnie łeczne są znacznie ostrzejsze, niż na wsi górnośląskiej. Niezaprzeczalnie są to skutki warunków bytowania ludzkiego. Stopniowy wyzysk biedoty przez bogatszych doprowadzał coraz bardziej do większych różnic posiadania, co pociągało za sobą wzajemną do siebie nienawiść. Trzeba dodać na obronę zamożniejszych, że byli przez zły ustrój wyzyskiwani i gnębieni, przez co próbowali „odbijać" to sobie na biednych najemnikach. Za to biedota była podwójnie gnębiona raz przez zły ustrój, drugi raz przez chciwość zamożnych.

Wytwarzający się dysonans mścił się przeważnie na biedocie, której coraz to więcej przybywało. Warstwa ta życiowo w dużym stopniu zależna od bogatszych, musiała pokornie i cierpliwie znosić nie tylko wyzysk, ale i wszelakie poniżenie. Bogacze trzymali się mocno z sobą, „kręcili się" wokoło sołtysa, wójta organisty, księdza i hajże na dziadów! Takich na przykład Chybów z „Komorników" Orkana, czy Borynów z „Chłopów" Reymonta każda wieś podkrakowska miała i ma jeszcze ciągle .

Dla przykładu podam pewne szczegóły z rodzinnej wsi:

Szesnastomorgowy gospodarz G. K. idąc do kościoła wyraził się w ten sposób: „Jakbym tak był księdzem to bym zaroz odprawił mso święto na intencyjo, zeby na tyk dziadów spadła jako ploga, abo pierony wytrzaskały. Po półtrzecia złotygo kco, zaklęte dziady, od żniwa, a tu skąd nabrać piniędzy, jak zyto na pietnoście złotyk?"

Jedna bogaczka M. J. lamentując nad tragiczną śmiercią kuzyna wołała: „Cymuz tyz nie zatłukło jakigo biedoka, ino ciebie, coś mioł z cego zyć"?!

Jednego razu kłócili się z sobą sąsiedzi: jeden osiemnastomorgowy i drugi pięcio-morgowy. Przechodzący drogą trzynasto-morgowy St. Ch. zaczął spluwać pogardliwie i powtarzać ze wstrętem: „Jakze bedzie dobrze na świecie, kiej taki dziod powozył sie pedzieć takiemu gospodorzowi „całuj mie...". On, co tockami gnój wozi i motyką orze — tak pedzioł gospodorzowi, którymu nie wort bąś za parobka! Tfy, tfy, z takim zepsuciem ludzkim".

Jakkolwiek biedacy zmuszeni są znosić swą krzywdę i poniżenie, to jednak nie obywa się bez tragicznych następstw: bardziej wybuchowi reagują na swą krzywdę pięściami, co staje się powodem obustronnej bójki na noże, drągi, siekiery, kopacze i dochodzi nawet do takich incydentów jak podpalanie domów. Młodzież też wzorując się na starszych, zaprawia się do takich „harców", a niektóre wsie (na przykład Kobylany w powiecie krakowskim, czy Bębło w powiecie olkuskim) są bezustannymi terenami krwawych sportów".

II.

ANTYKLERYKAŁY i „ŚWIĘTOSZKI"

Także pod względem religijnym są wyraźne różnice między chłopami górnośląskimi a podkrakowianinami. Górnoślązacy mając od dawna znośny żywot, nie zmuszeni byli zastanawiać się nad przyczynami wysokich opłat od pogrzebów, ślubów małżeńskich, chrztu i t. p. ceremonii. Bez szemrania oddawali „dziesięcinę" kościołowi, wiernie wypełniając jego przykazania. Toteż i księża nie musieli się tak wysilać z ambon, nie musieli tak straszyć piekłem. Wszystko szło i idzie nadal normalnym torem: ksiądz kocha swych parafian, ci też widzą w swym faroszu niemal świętą osobę. Więc siłą rzeczy nie ma na Śląsku ani fanatycznych dewociarzy, ani wrogów kleru. Oczywiście, stare kobiety chodzą codziennie na nabożeństwa, także do spowiedzi, ale nie wzdychają tak głęboko, nie całują posadzki i o piekle wcale nie ględzą jak gdzieindziej. Zaś co niedziela wszyscy idą na mszę czy sumę, ale też bez żadnych wzruszeń słuchają nabożeństwa, siedzą swobodnie w ławkach jak w kinie czy w teatrze. A po przyjściu z kościoła także w niedzielę pracują jak w dzień powszedni: i drwa sobie urąbią i taczkami ktoś przejedzie, szyją w domu i inne lżejsze wykonują prace.

W każdym prawie chłopskim domu znajdzie się „Gość niedzielny" czy „Rycerz Niepokalanej". Ale nie po to, by zagłębiać się w treść tych pism, by się stawać przez to pobożniejszym, tylko po prostu dla tego, że „farosz tak chcom". Nawet znany mi dobrze wójt gminy uważany przez ogół za skrajnego lewicowca, którego władze darzą zaufaniem politycznym, też często farosza odwiedza, a w mieszkaniu jego jest „Gość niedzielny" i „Rycerz Niepokalanej", natomiast od dłuższego czasu brak choćby „Chłopskiej Drogi".

A we wsi podkrakowskiej?—Tam zupełnie przeciwnie, tam co trzeci człowiek jest fanatycznym dewociarzem co czwarty antyklerykałem, co dziesiąty bezbożnikiem. Bo brak groszy na opłaty kościelne zmuszał biedotę do zastanawiania się nad tym zagadnieniem. W dodatku zimowe próżnowanie pozwalało na stałe dyskusje. I zależnie od różnych okoliczności, od towarzystwa czy charakteru urabiał się pogląd człowieka. I siłą rzeczy, bogatsi i starsi zostali świętoszkami, biedniejsi i młodsi antyklerykałami, choć w jednym i drugim wypadku zdarzają się też, choć bardzo rzadko — przeciwne wyjątki.

Dla przykładu scharakteryzuję pobieżnie parę postaci, także z mej rodzinnej wioski: Pominę oczywiście stare dewotki, które bezustannie klęczą w kościele, gdyż to jest powszechnie znane. Ograniczę się tylko do gospodarzy mających się za poważnych i statecznych.

Jeden z nich St. T., sześcio-morgowy gospodarz. Pola nigdy nie obsieje w całości, bo nie ma na to czasu. Bo nie tylko codziennie chodzi do kościoła, ale też nie pominie rekolekcyj czy misyj w okolicznych parafiach. A gdy przy „drzwiach zamkniętych" obsłucha się o życiu pozagrobowym — to później już nic w gospodarstwie nie chce robić, bo mówi że „to tylko wszystko marności świata". Przez te „marności świata" zmarniało mu już gospodarstwo. Zboża jakie zdąży zasiać, nie zdąży znów zebrać, zaś do reszty gnije ono w poszarpanej wiatrem stodole. W polu na zaperzonych ścierniskach, na jałowych ugorach pasą się sąsiedzkie krowy i kozy. Nic też dziwnego, że owemu pobożnemu gospodarzowi troje dzieci Bóg zabrał skutkiem nędzy i głodu. Czworo żyje jeszcze, ziewając od biedy i modląc się o rychłą i szczęśliwą śmierć wszak im ojciec tę śmierć stale osładza pociechą, że „śmierć w nędzy kieruje duszę prosto do nieba".

Inny znów W. K. czternasto-morgowy gospodarz prawie całe życie spędził w kościele. Bo oprócz modlitwy zajmował się też „bractwem różańcowym", świecami w kościele i t. p. sprawami. W dodatku woził własnymi końmi księdza po odpustach i innych wyjazdach. Dziwny ten i pyszny człowiek ukradł raz obraz w kościele, gdyż w czasie pożaru domu spaliły mu się też obrazy. Więc ukradł w kościele, by miał do czego się modlić. Organista doniósł o tym do policji, lecz ksiądz jakoś to zatuszował.

Ów pobożniś gospodarstwo obrabiał tylko dziećmi, które prawie katował i do reszty naiwnymi biedakami, którzy od czasu do czasu coś mu pomogli zrobić, „niech ta się już modli i zasługuje se na niebo".

Ale synowie nie nauczeni pracy w gospodarstwie, a tylko modlitwy — nie wytrzymali na ojcowiźnie. Otrzymali po połowie gospodarstwa jeszcze przed wojną i ożenili się także z pobożnymi dziewczętami. I z roku na rok wiedli coraz to nędzniejsze życie. Śnieg często zasypał im drobne jak orzechy — ziemniaki, a od wiosny do żniw nigdy nie było co wstawić do garnka. Wczesną wiosną zdzierali poszycie z chałupy i tą zmurszałą słomą dożywiali zdychające krowiny, które żony dostały w wianie od rodziców [1]).

Obydwaj w zimie wraz z żonami chodzili boso, bo tylko szmatami owijali nogi. Wiadomo — do kościoła przestali wnet chodzić i żyli gorzej od bydląt. Nareszcie obydwaj uciekli z ojcowizny. Jeden pracuje w kopalni węgla w Zagłębiu Dąbrowskim, drugi poszedł na służbę do księdza.

Nie wiem jak się powodzi temu w kopalni, wiem natomiast, że ten u księdza chwali się, iż mu po raz pierwszy „zaświtała jasność Boska". A no, wyśpi się chłopina w księżej stajni od dziesiątej godziny wieczorem do czwartej nad ranem, poje chleba z młyńskiej mąki, popije mleka, pensję odda żonie na opędzanie biedy — więc pracuje rzetelnie i cieszy się życiem. Jest pożyteczny i sobie i komu, ale pod czyim kierownictwem?

Raz wracając z miasteczka przez wioskę Czajowice, spotkałem się z paroma tamtejszymi kobietami. Było to w czasie budowania kaplicy w naszej wiosce. Między mną a kobietami wywiązała się taka rozmowa:

— Coz to słychać we wasy wsi? — pytają kobiety.

—Nic nowego — odrzekłem. — Bieda jak zwykle.

— Jak to nic nowygo? Przecie budujecie kaplice i nie bedziecie już tacy odepchnięci od Boga... Ho, ho, jak stanie kaplica, jak zacno sie nabożeństwa odprawiać, to i życie wom się tam odmieni... Będziecie mieć lepse urodzaje nie tak jak dotykcos...

---

[1]) Niby nieprawdopodobne. A jednak często zdarzały się wypadki zdzierania wiosną nowszych kawałków strzech na paszę dla krów.

Tak mniej więcej wyglądają świętoszki w podkrakowskiej okolicy. Oczywiście, że kobiety są bardziej jeszcze pobożne i bardziej dziwaczne. Nie znaczy to jednak, by wszyscy świętoszkowie zaniedbywali własne gospodarstwa, nie umieli pracować, czy też byli dziwaczni. Jednakże tacy są w większości. Bo jeżeli jest gospodarny i zabiegliwy, to znów w czym innnym dziwaczny. Naprawdę statecznego uczciwego i rozsądnego „świętoszka" trzeba szukać ze świecą. Współżycie rodzinne i sąsiedzkie z ludźmi tego pokroju jest na ogół nieznośne i trudne. O wiele znośniejsze jest współżycie i obojętnymi na sprawy religijne, lub z antyklerykałami. Natomiast gdy chodzi o bezbożników — bywa różnie, zależnie od osobowego charakteru i uświadomienia społecznego. Zdarzają się ludzie i uczciwi, stateczni i rozsądni, zdarzają się też „kopnięci w mózg". Znam na przykład bezbożników, z którymi w każdej sprawie można się pogodzić i żyć po ludzku. Znam też jednego, który swej matce, osiemdziesięcioletniej staruszce, robi niewypowiedzianą krzywdę. Sam słyszałem kilka razy takie słowa: — „Mos, staro cholero, u mnie Oświęcim i zdychoj, boś juz niepotrzebno na świecie!"

Trzeba słusznie przyznać, że tu na Górnym Śląsku nie spotyka się tego rodzaju wypadków. Tu „starzyki" są przez dzieci i wnuków bardzo szanowani i zależnie od możliwości — doznają od nich wszelakiej opieki.

III.

DEMOKRACI I REAKCJONIŚCI

Jak w pierwszych dwu wypadkach tak i pod względem politycznym jest zasadnicza różnica między ludnością obu regionów. Śląski chłop jest na ogół obojętniejszy na sprawy polityczne od chłopa podkrakowskiego.

Jeżeli chodzi o stosunek śląskiego chłopa do obecnej rzeczywistości — to Ślązak nie jest ani prawdziwym demokratą, ani reakcjonistą w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ni na jedno ni na drugie nie zdobędzie się z braku uświadomienia czy przez obojętność. Jest więc pośrednim politycznie członkiem polskiej społeczności.

Tymczasem chłop podkrakowski jest bardzo zróżnicowany politycznie. Tam nie trudno i o podziemnego reakcjonistę i o idealnych bojowników demokratycznych. I siłą rzeczy bogatsi na ogół są reakcyjni, biedniejsi to demokraci. Te dwa prądy w każdej wiosce mocno się z sobą ścierają. Stosunek reakcjonistów nie zawsze wypływa z nieświadomości, czy też z chęci wysługiwania się panom, a częstokroć kieruje tu pewna nienawiść i zazdrość: nie podoba im się demokracja tylko dlatego, by powoli „dziady" nie zrównali się z nimi; natomiast biedniejsi w pełni odczuwają o co chodzi, i radują się wyzwalaniem spod przemocy i zależności u bogatszych i różnych pańskich sługusów.

Także „świętoszki" odgrywają tu znaczną rolę i prawie wszyscy są reakcyjni. Słyszy się nawet takie słowa: — „Teroz bedzie wojna za wiarę" — jakby ta wiara była przez obecny Rząd podważana i odbierana wierzącym. Tym ogłupiałym fanatykom religijnym chodzi przeważnie o zemstę na antyklerykałach. Te ogłupiałe jednostki wcale nie odróżniają świeckiej działalności kleru od religii i dogmatu. Dla nich ksiądz — to religia, dogmat i zbawienie, a przeciwnicy kleru — to wysłannicy piekła, których należy wytępić.

Przy porównywaniu życia wiejskiego obu regionów nasuwają się ciekawe pytania: 1. czy wieś uprzemysłowiona, czy czysto rolnicza lepiej kształtuje człowieka? i 2. który z obu regionów w obecnej przebudowie stanie prędzej na należytym poziomie, na jakim winna stanąć wieś polska? Bo i tu i tam są wielkie braki.

Wcale nie jest moim zamiarem i specjalnością opowiadać na te pytania. Na podstawie doświadczeń stwierdziłem tylko fakty. Mogę tylko wyrazić częściowo swój sąd co do drugiego pytania: wieś podkrakowska mimo większej ruchliwości — większych będzie wymagać wysiłków. Bo cóż z tego, że jedna część tej ludności rwie się do innego życia, wstępuje na dobrą drogę, robi pewne postępy i zdąża powoli do celu, gdy druga część — to prawie wstecznicy, którym trzeba wbijać w mózgi, że: biedni i bogaci równe posiadają prawa do życia i decydowania o swych losach; że na życzenie bogacza Bóg nie spuści plagi na biedaków; że wąskość pola nie jest przykazaniem do milczenia w czasie zaczepki; że za pobicie księdza nie wypadają rany w ciele; że wybudowanie kaplicy czy kościoła nie działa na zwiększenie plonów; że nie należy rozmyślnie trwać w nędzy i modlić się o rychłą śmierć; że lepiej modlić się do niewidzialnego Boga, niż do kradzionego w kościele obrazu; że poprawa doli biedoty — to poprawa ogólnego bytu chłopa, robotnika i całego narodu.

Akcja przeorywania tych ugorów, wykorzenianie chwastów będzie mozolniejsze, niż się to na pozór wydaje. Bo choć wstecznictwo traci stopniowo na sile i znaczeniu, choć takiej ludności jest znacznie mniej obecnie, niż postępowych, ale wstecznictwo ma usankcjonowaną tradycję i swych pielęgniarzy w osobach „uświęconych" bogaczy. I ci nie chcą ustępować w nowoczesnej walce o postęp chłopa i nie tylko podświadomie, ale i rozmyślnie stawiają zapory, zasłaniają się nawet Bogiem i Jego przykazaniami, by nie dopuszczać do wykorzeniania chwastów utrudniających rozwój mieszkańców czysto rolniczej wsi.

Józef Kapuściński

LICHWA I LICHWIARZE

Do najwyższych rozmiarów na ziemiach polskich doszła lichwa w b. zaborze austriackim. Podłożem do jej „pomyślnego" rozwoju były fatalne stosunki gospodarcze. Oto ich ilustracja z lat 80-tych ub. stulecia:—na ogólną liczbę 1.008.541 gospodarstw małorolnych—19,1% czyli 193.238 miało poniżej 1 ha ziemi, 23.1 proc. czyli 233.263 gospodarstw było od 1—2 ha, zaś 37,4 proc. czyli 376,574 miało od 2—5 ha. Dopiero reszta — 205.466 gospodarstw liczyła więcej niż 5 ha.

Komplet tych „gospodarstw" uzupełnia fakt, że na tym samym terenie było 23.000 karczm i szynków i 2431 gorzelni z produkcją przeszło 1 miliona hl. wódki rocznie.

Nic też dziwnego, że w takich warunkach lichwa na tle ogólnej ciemnoty rozwijała się bardzo intensywnie. W każdym miasteczku żyło po kilkadziesiąt lub kilkuset zawodowych lichwiarzy, którzy się zajmowali tylko wyzyskiem i mogli jeszcze opłacać sforę swoich „naganiaczy". Nie było też wioski, któraby nie miała swoich lichwiarzy. W roku 1876 Wydział Krajowy doszedł do przekonania, na podstawie ankiety, (przeszło 500 wypowiedzi), że brak kredytu dla chłopów jest podstawą rozwoju lichwy. Lichwiarze obliczali procent od wypożyczonej gotówki tygodniowo lub dziennie od 1 ct.—10 ct. czyli od 52—520 proc. rocznie. Oprócz tego procentu pobierał lichwiarz „za wysługę" pewne ilości jaj, masła, sera, kur, zboża lub pracę dniówkową pieszą ew. konną.

Nic też dziwnego, że chłopi nie mogli takich zobowiązań wykonywać i szły one na „bęben" czyli na publiczną licytację. W czasie od 1872—1897 to jest w ciągu 25 lat odbyło się na tym terenie „tylko" 58.644 licytacji czyli po 2346 rocznie. W tych stosunkach powstawały gromadzkie spichrze zbożowe i kasy pożyczkowe — a następnie kasy Reiffeisena od roku 1890. Liczba tych kas od pierwszej założonej w 1890 roku w Czernichowie do wybuchu pierwszej wojny światowej wynosiła 1597 w zaborze austriackim. W ciągu tylko 14-letniej swojej działalności, tj. od 1900—1914 roku udzieliły te kasy przeszło 215 milionów 300 tysięcy koron pożyczek na spłatę uciążliwych prywatnych długów, czyli na zwalczenie lichwy. Lichwa była tak potworna, że rząd austriacki pod naciskiem publicznej, zdrowej opinii zmuszony był wydać przeciw lichwie ustawę, która groziła karą więzienia do 2 lat i grzywną do 3.000 koron. Skutki lichwy były m. in. przyczyną owej słynnej „nędzy" galicyjskiej, którą tak realistycznie opisał Szczepanowski.

Po pierwszej wojnie światowej, w latach 1923—1927 lichwa przybrała na sile i dzięki „sprzyjającym" warunkom, w wielu wypadkach przewyższyła pierwszą.

Pożyczki na koszty podróży za ocean—przeważnie „sąsiedzkie" były dawane pod zastaw gruntu na 2—5 lat z tym zastrzeżeniem, że w razie niespłacenia pożyczki w terminie, grunt przechodził na własność wierzyciela. Pożyczano walutę polską, a żądano zwrotu w dolarach amerykańskich. Pożyczano np. 100 zł. i obliczano, że jest to kwota 25 dol., czyli przyjmowano relację 4 zł. za 1 dol.; kiedy oddawano dług w terminie — dolar wynosił 12 zł. i tyle musiano oddać, czyli za 100 zł. oddawano 300 zł.

Oto przykłady takiej lichwy. Gospodarz 8-morgowy pożyczył 100 zł. na przeciąg 3 mies. Procent wyniósł 100 kg. pszenicy i jeden dzień robocizny konnej.

W innym wypadku wdowa pożyczyła od kupca 100 zł. na przeciąg 3 mies. i jako procent musiała dać cielę od krowy. W innym wypadku od 100 zł. płacono po 5 zł. miesięcznie, a za „wygodę" — kurę, 1 kg. masła.

Był wypadek, że od 100 zł. zapłacił dłużnik za 1 dzień w gotówce 5 zł. — co wyniosło w stosunku rocznym 1825 proc. Był to procent tak wysoki, jakiego nie znała lichwa przed pięćdziesięciu laty. Lichwiarz wykorzystuje moment położenia dłużnika i dyktuje temuż warunki jak najtwardsze, na które dłużnik spowodowany okolicznościami zmuszony jest przystać. Lichwiarz nie zna innego celu pożyczania, prócz zysku — gdyż np. w wypadku sąsiedzkiej pożyczki w ciężkiej potrzebie, w chorobie żony gospodarz 10-morgowy od 50 zł płacił miesięcznie tytułem procentu 1 dolara po kursie 12 zł. Lichwiarz obliczając procent dziennie, czy tygodniowo, nigdy zaś w stosunku rocznym gra na naiwności i nieświadomości chłopa, gdyż wierzyciel ma wrażenie niskiego procentu. Bywały wypadki, że chłop przyszedłszy do kasy pytał ile płaci się od 100 zł. rocznie tytułem procentu, otrzymawszy odpowiedź, że oprócz kosztów weksla lub skrypta 7 proc. rocznie, odchodził i szedł pożyczyć owe 100 zł. prywatnie płacąc tygodniowo po 1 zł czyli 52 proc. w stosunku rocznym. I uważał, że kasa uprawia lichwę, a lichwiarz czyni mu dobrodziejstwo.

Dopiero ostatnia wojna światowa położyła kres lichwie. Kredyty siewne w gotówce i zbożu, kredyty budowlane, na narzędzia rolnicze, cały szereg ulepszeń w strukturze gospodarczej doprowadził do tego, że nie ma już dzisiaj tej zmory — lichwy i nie ma pasorzyta społecznego — lichwiarza w ścisłym tego słowa znaczeniu, gdyż nikt obecnie nie zajmuje się pożyczaniem pieniędzy. Powrotu lichwy nie trzeba się więcej obawiać!

Jan Rosicki

NOWY WERKMISTRZ

Nie dano jeszcze porannego sygnału, a już młody Tośki, od dziś werkmistrz i wszechwładny pan tartaku, siedział w małym kantorku w wewnętrznej przybudówce tartaku. Szklane drzwi biura były lekko uchylone i słychać było rozmowę, jaką prowadził z placowym Marchwałem, o czymś bardzo poważnym. Zebrani w komplecie robotnicy starali się podchwycić coś niecoś z owej rozmowy, tamci mówili jednak głosem przyciszonym i niewyraźnym. Wreszcie wyszedł z kantorka placowy i spojrzał na zegarek:

— Jeszcze nie buczy? — zawołał zdziwiony.

— Jeszcze brakuje pięć minut — spojrzawszy na zegarek, zauważył któryś z robotników, ale nie na tyle głośno, by go mógł usłyszeć siedzący przy biurku młody Tośki.

W tej chwili rozległ się pierwszy, ostry dźwięk syreny. Robotnicy zerwali się z miejsc, na których na chwilę spoczęli. Porozwierali wszystkie bramy. W tartaku uczyniło się widniej. Zaraz też pobrawszy ficki i inne narzędzia podążyli każdy do swego zajęcia. Jak dobrze wyćwiczeni żołnierze; nikt ich nie przydzielał, każdy znał swoją pracę i wiedział gdzie go ona oczekuje. Młody Tośki, opuściwszy biuro, przez chwilę przypatrywał się spokojnie tej krzątaninie, wreszcie spostrzegłszy czekającego na coś Koszelkę wpadł na niego ostro: —

— Czego stoisz! Nie wiesz, gdzie twoja robota?

Były werkmistrz spojrzał na niego z pogardą.

— Przepraszam — rzekł — Nie jestem przyzwyczajony do tego, by się do mnie ktoś w podobny sposób odzywał.



rys. Stanisław Cieloch

Młody Tośki spojrzał na niego zdziwiony. Potem zmierzył go wzrokiem od stóp do głowy i nagle się wściekł. Mełł w ustach niewyraźne słowa, oczy mu zabłysły, lecz zaraz się pohamował i rzekł, napozór spokojnie, ale tak donośnie, aby go mogli usłyszeć wszyscy:

— Zapomniałeś, że nie jesteś już werkmistrzem. Nie będę się bawił w ceregiele: pójdziesz do tarczówki. Tak, jak szef zarządził. Ja pomówię o tobie z szefem — pogroził.

Ostry ten ton przygniótł zupełnie Koszelkę. Nie starał się już oponować. Zdobył się tylko na nieśmiałą uwagę.

— Przecież przy tarczówce stoi Kierzek Władek.

— Ale pendlówka niezajęta. Pójdziesz na jego miejsce. Kierzek obsadzi pendlówkę. Zaraz wydam zarządzenie.

Przy tartakach zadźwięczał dzwonek na znak puszczenia w ruch lokomobili. Dwaj starsi tracze, przy stojących w rzędzie gatrach ujęli w ręce heble przekładni. Wkrótce uczuli pod nogami delikatny szmer i wstrząs, to ruszyła transmisja. Młodszy pomocnik trakowy kończył szybko oliwienie ostatnich łożysk. Pierwsi tracze zaraz włączyli przekładnie. Naciągnięte piły na żelaznych ramach skoczyły w górę, szybko zjechały w dół i znowu w górę, i odtąd już tak ciągle, w dół i w górę, ślizgały się po żelaznych, gładkich łożyskach. Jednocześnie odezwało się głuche, miarowe tarcie. Majok party trybistymi wałkami, pruty zębami pił, wychodził z przeciwnej strony na pozór jeszcze cały, bo ujęty w klamry i spięty łańcuchem; jeszcze się nie rozkładał, jak trup na anatomicznym stole, ale już był pocięty i poćwiartowany.

Młody Tośki za chwilę znów zjawił się w tartaku. Robotnicy od wózka kładli na platformę blachy przeznaczone na stapel. Kloc podłużnie pocięty na trzycalowej grubości płyty, musiał być w całości zwieziony na plac poza tartakiem i tam ułożony w naturalnej prawie formie, tylko z owalnym nieco zaokrągleniem.

— Śpieszyć się! — krzyknął na nich młody Tośki.

Wózek stoczył się szybko po lekkiej pochyłości. Robotnicy złożyli na kilku rozłożonych listwach blachy na ziemię i zawrócili po następne.

— Puszczać na całego gatry!

Pierwszy tracz, Walenty Kierzek zaoponował.

— Majaki są grube, piły nie wytrzymają.

Młody Tośki spojrzał na niego surowo.

— Mnie nie potrzebujesz uczyć. Ja sam wiem, co można. Puszczać na całego!

— Jak pan sobie życzy!

Pchnął lewarek przekładni, jak najbardziej ku dołowi, a nawet przycisnął go nogą. Piły zaczęły trzeć z niesłychaną szybkością. Żelazne obramowanie pił poczęło się szarpać i szamotać, jakby chciało się wyrwać z podłogi i wznieść w powietrze. Wszystko trzęsło się i drżało, pracując z niesłychanym natężeniem. Młody Tośki trochę się zaniepokoił, spoglądał z uwagą na pracujący gater, śledził wrzynające się w gruby kloc piły, opanowała go gorączka, przypominająca szaleńcze miotanie się piły.

— Czy kloce zapisane? — zapytał tracza.

— Tak, panie szefie — odparł tamten machinalnie.

Tośki spojrzał na wykaz przetartych klocców.

— Gdzie szublera?

— Jest, panie sefie.

Robotnik podał mu przymiar przesuwkowy. Tośki zmierzył średnicę kloca mniej więcej w połowie jego długości i raz jeszcze sprawdził wykaz.

— Zgadza się.

Z kolei przeszedł do następnego traka. Tutaj także obserwował chody pił. Gater ten był nieco mniejszy. Od razu można było poznać, że jest słabszy. Szły też przez niego cieńsze kloce na kantówkę i deski. Był to stary trak, wysłużony i należały mu się pewne względy. Ale młody Tośki nie zważał na to.

— Czy gater puszczony na cały bieg? — zapytał.

— Nie, proszę pana. Starszy pan szef nie każe nigdy puszczać tego gatra na całe, bo słaby i może odrazu wytrzasnąć.

— Puszczaj! — rozkazał Tośki.

Robotnik milcząco przycisnął lewarek. Gater począł jęczeć; piły acz cięły z niesłychaną mocą, jednak po dźwięku tego całego kompletu starego żelaziwa, poznać było można, że gater długo natężenia nie wytrzyma. Tośki pomyślał, że jednak rozsądniej będzie zahamować tę szybkość.

— Hamuj, powoli hamuj!

Robotnik począł hamować, a Tośki śledząc z uwagą chody pił, wsłuchiwał się w dygocące i rozklekotane dźwięki. Trak poczynał pracować normalniej, przychodził nieco do siebie, po tej szalonej eskapadzie. W pewnej chwili Tośki rzekł:

— Dość! Tak powinien iść. Pamiętaj — tak zawsze powinien iść!

Teraz zwrócił się znowu do robotników zajętych przy wózku.

— Czyście posnęli, że tak drepczecie z nogi na nogę. Ruszać się, bo was popędzę! — Jazda na plac!

Wózek przesunął się pomiędzy dwoma gatrami i zatrzymał się.

— Jazda! — zaryczał.

—Musimy wziąć, panie, ficki — tłumaczył się Goclik, biorąc dwa drążki o płaskich zakończeniach. Dla Tośkiego nie było to jednak usprawiedliwienie, a raczej harda odpowiedź. Kopnął z pasją wózek.

— Ja was nauczę! — zawołał.

Zbliżył się do ludzi, który przerzynali na placu majaki.

— Czy macie co wyrzynać? — zapytał.

— Jeszcze jedną sztukę, jaką naznaczył wczoraj werkmistrz Koszelka.

— Zaraz naznaczę więcej. Tylko się śpieszyć — napominał, — bo gatry czekać nie mogą.

Pochylił się nad sosną z miarą i rylcem w ręku ale w tej chwili zaintrygowała go nagła cisza. Traki stanęły. Młody Tośki natychmiast udał się do wnętrza tartaku.

— Dlaczego traki stanęły? — zapytał, stojąc jeszcze w progu.

—— Pary nie ma —— zakomunikował mu traczowy Kierzek.

Tośki pobiegł do kotłowni. Tutaj z miejsca zwymyślał palacza. Nie pomogły tłumaczenia, że lokomobila nie może podołać dwom gatrom w pełnym rozbiegu, zwłaszcza gdy przez piły przechodzą bardzo grube i w dodatku mokre kloce. Tośki pojmował tylko jedno: że na to jest palacz, by odpowiednio podsycał płomień, a na to lokomobila, by ciągnęła transmisję. Palacz był mocno rozgoryczony, ale widząc zacietrzewienie Tośkiego, wolał zmilczeć.

— Para! Para! — wołał młody Tośki, rzucając się w śmiesznych podrygach przed kotłem.

Palacz już nie mógł dłużej ścierpieć.

— Przecież jej do cholery, nie nadmucham! — zawołał rozłoszczony.

Tośki nagle zaniemówił. Spojrzał na zuchwalca wściekłymi oczyma. Mierzyli się wzajemnie oczyma. Tośki jednak pierwszy uznał niepewność tej drażliwej sytuacji, gdyż wyprysł z kotłowni i pogonił na plac.

— Czekajcie, ja wam to zapamiętam! — zawołał.

— Można — rzucił za nim lakonicznie palacz.

Około dziewiątej, młody Tośki, poszedł na śniadanie do willi. Przez ten czas nadzór nad ludźmi polecił placowemu Marchwałowi, który nie najgorzej wywiązywał się ze swego zadania; zwąchał w jaki sposób można szybko awansować przy młodym szefie, gdyż darł się tak, że go wszędzie było słychać.

Po śniadaniu młody Tośki wyszedł z ojcem na plac. Idąc obok dowodził bezładnie rozkładając ręce.

— Ojcze, jak ci ludzie pracują! Tak dalej być nie może! Jak się ruszają! Istne lunatyki. Niech ojciec spojrzy na tych oto od wyrzynki. Istne manekiny! Bezduszne stworzenia! Nie można sobie z nimi dać rady! Przez kilka lat, na takiej pracy można stracić grube miliony! Na kursie w Łomży, inaczej musieliśmy się ruszać! Sto cięć na minutę! To była praca!

Zachwycał się wspomnieniami. — To była praca! Miałem scysję z palaczem!... Albo ten Koszelka!... Wie ojciec, co mi powiedział? — że mam się inaczej z nim obchodzić! Ależ to bydło! Tak ich rozpuścić! Ja ich muszę ująć w karby!...

Szef żuł w ustach cygaro. Już samo jego pojawienie się, było czymś w rodzaju burzy. Szef był zawsze w złym humorze. Dzisiaj, podniecony przez syna, ciskał gromy przekrwionymi oczyma.

Szybko biegli przez zawalony klocami dziedziniec. Szef biegł przodem syn posuwiście podążał za nim. Nabrzmiała twarz, była aż purpurowa z gniewu. Nie zważał na żadne ukłony. Robotnicy pogrążyli się w pracy z całym zasobem sił, wszystkimi mięśniami.

Szef skręcił na lewo do tarczówki.

Obrzynając szalówkę z nierównych skośnych boków, Koszelka melancholijnie rozmyślał nad swoim obecnym położeniem.

— Panie Koszelka! — zawołał na niego szef.

— Koszelka! — wrzasnął młodszy Tośki.

— Przepraszam cię Kaziu! Panie Koszelka, pan wie, że syn mój sprawuje nadzór nad całym tartakiem, proszę więc mu się w niczym nie sprzeciwiać i czynić, co on rozkaże.

— Przecież ja mu się nie sprzeciwiam, panie szefie — —odrzekł Koszelka ze smutnym zdziwieniem.

— No tak — powiedział szef i nie dokończył rozpoczętego zdania.

— Przepraszam, ojcze — próbował mu coś wytłumaczyć młody Tośki, ale szef już zawrócił i wpadł do kotłowni.

— Czy macie parę? — zapytał palacza.

— Tak jest, panie szefie!

— Jak ciągnie lokomobila?

— Dobrze, panie szefie!

— Wiecie, że macie wykonywać to, co wam pan Kazimierz rozkaże?

— Tak jest, panie szefie!

— Więc się starajcie! — zakończył szef i przeszedł na tylny plac.

Dwóch ludzi siedziało wysoko na warstwie grubych bloków i układało świeżo pocięte deski. Stapel z jednej strony piramidalnie wznosił się w górę, tworząc stopnie, z drugiej zaś, opadał stromo w dół. Ludzie, skacząc z jednego stopnia na drugi, windowali coraz to wyżej świeże blachy. Robota była mozolna, ciężka, a nawet niebezpieczna. Do tej pracy używano też robotników specjalnie uzdolnionych. Właśnie, kiedy szef nadszedł, robotnicy znajdowali się na najwyższym stopniu tego stosu. Foremnie układali deski, przekładając je wąskimi listewkami, wiążąc z sobą i tworząc w ten sposób jedną silną budowę. Tak składali majoki, w naturalnej prawie, tylko w nieco wydłużonej owalnej formie. Na ziemi leżały jeszcze całe stosy niepoukładanych desek. Szef podniósłszy głowę w górę dojrzał robotników, ale oni go wpierw jeszcze spostrzegli i nie dali się zaskoczyć. Pracowali szybko i sprawnie. Szef wpatrywał się chwilę w solidnie ułożone stosy. I, widocznie, w tym drzewie, czekającym na nabywców, szef znalazł z powrotem zagrożone synowskim niepokojem miliony, gdyż nawet nie rzucił naglącego „Pospieszcie się!" Zawrócił i przeszedł na przedni plac przed tartak. Ale tutaj zawrotna cyfra milionów rozwiała się jak sen i szef dostrzegł tylko leniwych robotników i trud, z jakim trzeba zdobywać pieniądze. Znów stał się groźny, dziko wokół tocząc oczyma.

Przez chwilę przypatrywał się pracy tłoków. Nie było tu nic do zarzucenia, ale młody Tośki znalazł w nich jeszcze jakieś braki.

— Wie ojciec, — zaczął — jak ja byłem na szkole w Łomży, to instruktor z zegarkiem w ręku stał przy nas i obliczał czas wykonania pracy. Gdyby i ojciec tutaj coś podobnego zarządził...

— Sądzę Kaziu, że u nas się tego przeprowadzić nie da — —rzekł szef.

— A może ja spróbuję.

— Jak uważasz, Kaziu.

Po tej rozmowie szef udał się w kierunku biura, a syn skierował się w stronę tartaku. Młody Tośki starał się wyrobić sobie wśród tych ludzi odrazu silny autorytet, odrazu zaćmić wszystkich swoją wielkością. To mu się też prawie udało. Od dawna już wyciskano na tych ludziach znamię niewolnictwa. Skoro tylko wchodzili na podwórze tartaku, nie byli już panami swej myśli ni woli. Odtąd należeli już tylko do szefa, jako wyłączna jego własność. Niezupełnie zadowolony z inspekcji ojca, młody Tośki starał się tym bardziej zaznaczyć swoją wielkość. Wszedłszy do tartaku ogarnął wszystko groźnym spojrzeniem. Miał brwi jasne, strzępiaste i wzrok podobny do wzroku ojca, poza tym jednak był niski: od silnych i rosłych robotników odbijał wątłą budową.

Stanął przy traku. Stał tak przez kwadrans, pół godziny, godzinę, spoglądał ustawicznie na oba gatry i, tylko raz poraz, gdy robotnicy przerzucali świeży pień z podstawy na maleńkie wózeczki i spychali na okrągły pniak, z którego sosnowy łeb odrazu dostawał się w trybiate wałki, by iść na piły, przynaglał:

— No, dalej, dalej! Prędzej!

Metodą taką bardzo dawał się ludziom we znaki. Robotnicy nie mieli chwili wytchnienia. Żaden ich ruch nie mógł być daremny, żadne słowo nie mogło wyjść z ust, gdyż to by rozpraszało uwagę. Wrota tartacznej szopy były na przestrzał otwarte i młody szef miał doskonały widok na oba podwórza.

Tośki udał się na plac. Robotnicy na parę chwil odetchnęli.

— Cholerny szczeniak! — wyrwało się staremu traczowi.—Chce nas tu wszystkich pomordować!

Wszystko się w ludziach jakby nagle rozprzęgło. Chwycili się teraz nowej taktyki. Skoro Tośki wyszedł na plac, postanowili odetchnąć. Zeszli się na ganku i obserwowali z daleka bezczynnie Tośkiego.

— Niech to diabli wezmą! — zaklął Władek Kierzak.

— Z Koszelką lepiej się robiło — dodał inny trakarz melancholijnie.

— My go powoli nauczymy — rzekł trzeci tracz z przekonaniem.

Traki szły zwykłym pędem, ale praca kulała. Robotnicy zgubili nadane im tempo, a swojego własnego, nie mogli narazie odnaleźć. Nie mogli się przecież trzymać ustawicznie tego szaleńczego tempa, musieli odetchnąć, by nabrać sił gdy Tośki wróci.

Jakoś młody szef nie bawił długo na placu, wrócił i praca ruszyła w tempie wysilonym. Ludzie stali się znów bezdusznymi pomocnikami maszyn. Nie odczuwali zmęczenia, bo Tośki im na to wcale nie pozwalał, tak, jak oni nie pozwalali ani na chwilę odetchnąć maszynom, pracowali, aż do zupełnego wyczerpania.

Gdy zahuczał pierwszy sygnał syreny na znak, że należy składać narzędzia i ogarnąć się nieco z kurzu i brudu, Tośki opuścił ostatecznie swoje stanowisko. Gatry wreszcie stanęły. Ludziom należał się także odpoczynek, ale dla Tośkiego każda minuta była droga, nie wolno było kończyć pracy o sekundę za wcześnie, nikt też nie śmiał opuścić stanowiska przed drugim sygnałem. Upragniony sygnał rozległ się wreszcie i wyzwolił ludzi na okres tylko jednej godziny. Przez tę godzinę (obiadu), każdy starał się strząsnąć z siebie niemoc i utrudzenie i wyrównać siły do dalszych wysiłków. Godzina szybko mija i, właśnie, kiedy człowiek chce by trwała nieskończenie, mija jak chwila.

Po obiedzie młody Tośki zaraz odwiedził Koszelkę. Były werkmistrz nie zbyt godził się ze swym nowym stanowiskiem, ale pomimo odrazy, jaką odczuwał do smarkacza, pracował z całą gorliwością. Jednego w sobie nie zagubił, zrozumienia, czego się od niego żąda. Tośki naszedłszy go znienacka, pomimo niechęci, jaką żywił do niego, nie mógł mu nic zarzucić. Zbiło go to z tropu, lecz uparł się, chciał i musiał koniecznie coś znaleźć. Stanowczo jest doświadczeńszy od takiego Koszelki, posiada szkołę, a Koszelka tylko długoletnie doświadczenie; posiada władzę i może wszystkim pokazać co on, to on.

Przemówił do Koszelki tonem grzecznym i protekcjonalnym.

— No, jak ci tutaj idzie?

Koszelka nie odpowiedział. Długi wąski wózek chodził równo po stole, a tarcza piły warczała, krając podłużnie szalówkę. Pracował sprawnie. Młody Tośki, przypatrując mu się z boku, po dłuższej chwili milczenia, zauważył:

— Dlaczego nie weźmiesz dwóch desek naraz, przecież to są szalówki. U nas na szkole w Łomży w ten sposób się robiło. Poczekaj, ja ci pokażę.

Zdecydowanym ruchem odsunął Koszelkę od stołu i, ułożywszy dwie deski naraz, popchnął silnie wózek.

Zębata tarcza piły, wirująca w niesłychanym rozpędzie poczęła ustawać, kręciła się coraz powolniej, aż stanęła zupełnie.

— Pas spadł — rzekł Koszelka z szyderczym spokojem.

— Załóż pas — powiedział do niego Tośki.

Koszelka schylił się pod stół i wsunął się w koryto, na którego dnie leżał obwisły pas. Nałożył go na pierścień i piła zawirowała ponownie. Tośki położył dwie deski na wózek i pchnął go naprzód.

— Pas spadł — rzekł znowu za zwykłym spokojem Koszelka.

— Załóż pas — powtórzył Tośki.

Koszelka założył pas. Tymczasem Tośki odszedł od stołu, nie chcąc narażać się dalej na śmieszność. Koszelka wrócił do swego zajęcia i obrzynał pojedyńczo deski.

Młody szef tegoż popołudnia więcej do niego nie zajrzał.

Kazimierz Podlasiak

„WOREK Z KARTOFLAMI"

PISZĘ do Ciebie pełen niepokojów wewnętrznych i sprzeczności. Dzieje się to od ostatniej niedzieli. Wprawdzie rano wybierałem się na ryby, ale jeden ze znajomych młodzieżowców namówił mnie na wiciowy zjazd, który tej właśnie niedzieli odbywał się w naszym powiecie. Mój sceptycyzm odnośnie Wici raczej nakazywał mi nie zawracać sobie zjazdem głowy, ale jak to zwykle ze słabym bywa, po krótkim naleganiu ustąpiłem i oto jestem jednym ze stu pięćdziesięciu obserwatorów referenta, który przyjechał aż z dalekiej Łodzi i w tej właśnie chwili „morduje" referat.

Znasz te referaty. O Polsce Ludowej, o niedorozwoju warstwy chłopskiej, o nędzy, o wychowaniu, o elektryfikacji, księżach i traktorach. Wreszcie doszedł do zagadnienia jednej organizacji młodzieżowej w Polsce. Załatwił się z tym przez najwyżej trzy minuty. Potem usiadł. Na sali trochę poszumiało, pofalowało. Potem były jakieś sprawozdania i wreszcie dyskusja.

Dobrze jednak, że nie pojechałem dziś na ryby.

Bo posłuchaj.

W dyskusji zabierało głos 25 mówców. Żaden z nich nie pominął sprawy jednej organizacji. Poza tym było dużo goryczy i żalów.

Wyraźnie zanotowałem trzy grupy dyskutantów. Pierwsza — opozycjoniści, druga — oportuniści i trzecia — referent plus jeden dyskutant, plus moje duchowe (a zatem słabe) wsparcie — za jedną organizacją.

Pierwsi mówili: Powinna być samodzielna organizacja chołpska, będziemy popychadłami we wspólnej organizacji, nam się należy 75% stanowisk państwowych (pamiętasz tę pieśń?), ruch chłopski został po 1944 r. zahamowany przez partie robotnicze, kler chce szczerze budować Polskę Ludową i dlatego sympatyzuje z Wiciami i Wici powinny ściśle współpracować z księżmi. Mimochodem ktoś zwymyślał referenta i prezesa powiatowego. Referenta (delegat Zarz. Wojew. Wici) za to, że Wojewódzki sztandar był „rozwijany", a nie poświęcony, a prezesa, że zjazd dzisiejszy nie rozpoczął się mszą.

W dalszym ciągu? Ano, że nie powinniśmy się dać poklepywać innym, nie powinniśmy się kłaść do grobu, że nasza ideologia — agraryzm jest najodpowiedniejszą, nie trzeba jej zatem zmieniać, że ZWM pije wódkę po karczmach, że pozostałe w gospodarstwach po Niemcach narzędzia rolnicze powinny stać się własnością chłopów, że skąd SL, nasza polityczna reprezentacja(!), będzie brało dla siebie młodzież, że przez jedną organizację chłop będzie się wyzbywał swojej chłopskości, że materializm, idealizm, etyka chrześcijańska i moralność społeczna...

Drudzy: Trzeba. Koniecznie trzeba, bo...

...No, bo się do szkół nie dostaniemy, nie będzie maszyn, nawozów. Trzeba, bo przecież już nawet termin ustalony i to termin ładny, uwzględniający wielką rocznicę. Więc to symbol... Koniecznie trzeba...

W międzyczasie zabrał głos Burzyński Władek. Znasz go. Syn Stefana, ongiś uważanego powszechnie za komunistę, a w czasie wojny straconego przez Niemców. Władek wyjął książkę Marksa „18 Brumaire'a" i przeczytał: „Drobni chłopi stanowią olbrzymią masę, której członkowie żyją w jednakowych warunkach nie wchodząc jednak w różnorodne stosunki ze sobą. Ich sposób produkcji izoluje ich od siebie, miast wytworzyć wzajemne stosunki między nimi. Izolację tę potęguje zły stan środków komunikacji we Francji (w Polsce... przyp. mój — K.) oraz nędza chłopów. Ich teren produkcji, parcela, nie pozwala na podział pracy przy jej uprawie, nie pozwala na stosowanie nauki, a więc na wielostronność rozwoju, różnorodność talentów, bogactwo stosunków społecznych. Każda poszczególna rodzina chłopska wystarcza niemal sobie, sama bezpośrednio produkuje większą część tego, co spożywa, zdobywa więc środki do życia raczej przez wymianę z przyrodą, aniżeli przez stosunki ze społeczeństwem. Parcela, chłop i rodzina; obok inna parcela, inny chłop i inna rodzina. Kopa tego stanowi wieś, a kopa wsi jest departamentem (czy powiatem... przyp. mój — K.). W ten sposób podstawowa masa narodu francuskiego (czytaj polskiego... przyp. mój — K.) tworzy się przez zwykłe dodawanie jednomiennych wielkości, tak mniej więcej, jak worek z kartoflami stanowi w sumie worek kartofli." Ja sobie myślę — mówił później, że to żaden interes dla chłopów być takimi pojedynkami, co to przy ladajakiej okazji rozpryskują się i nie obchodzi nic jeden drugiego, że należałoby nas chłopów jakoś zlepić z całym narodem. Wyobrażam sobie, że naród to jest tak, jak sztuka płótna, a poszczególny człowiek w narodzie to nitka w płótnie. Jeśli my się w naszym narodzie połączymy w taką zwartą całość, w taką solidną jedność pracującego świata, to wtedy mój i twój interes będzie interesem całej Polski, a interes Polski będzie zawsze interesem każdego z nas. I wtedy nie będzie chłopa, robotnika, inteligenta, urzędnika, poety, a będzie jednolity, zgodny naród. I nie będziemy workiem kartofli, które po wysypaniu lecą każdy w swoją egoistyczną stronę, a będziemy nićmi tworzącymi dobrze zrobione, mocne i piękne płótno. I dlatego jestem za jedną organizacją młodzieży w Polsce.

Tak powiedział Władek Burzyński — zwolennik bezklasowego społeczeństwa. Sala była oszołomiona. Odpowiedzi referenta — zresztą ciekawych i leżących w wyznaczonej przez Władka płaszczyźnie — mało kto słuchał. Mordowały wszystkich te marksowskie kartofle i Władkowe nici w sztuce płótna. Mnie dodatkowo męczyła myśl, co z tego wyniknie.

Nie mogłem połapać się w sytuacji. Tu — myślę — opozycja, tu oportuniści, tu delegat, mówi o kulturowych obciążeniach na wsi i w mieście, o przegrodach i znowu jednolitym narodzie...

Na koniec wstaje ten, który chciał początkowo 75% i mówi tak: Właściwie to my chcemy jednej organizacji, ale, żeby ona tak się tworzyła, jak mówił Burzyński i jak mówił pod koniec delegat z Łodzi.

Mój serdeczny Przyjacielu! Czyżby to było faktem? Czyżby przepaść między wsią i miastem zarzucana dotychczas piórkami haseł — słów, miała przestać istnieć? Czyż za lat kilkanaście lub kilkadziesiąt socjolog w swych naukowych obserwacjach napotka na trudności w określeniu wzoru osobowego tej grupy kulturowej, którą dziś nazywamy chłopami, lub robotnikami?

Ode wsi idzie nowa treść. Wyrosła ona w ostatnich latach, a raczej w ostatnich miesiącach. Treść realizującej się idei Polski mas ludowych. Myślę, że konflikty jeszcze nie wygasną, że nie wszędzie są Burzyńscy, że obciążenia chłopskie są strasznej wagi, że wróg ciągle czyha i stąd jestem pełen niepokojów i sprzeczności, ale do diabła, w przyszłą niedzielę nie pójdę na ryby. Przeczytam natomiast w Kole z „Nowych Dróg" artykuł A. Brzozy — „Przeciwko kompleksowi niższości w rolnictwie". Znasz to? Zobacz, co się tam dzieje ze sławnym prawem Liebiga.

Twój Kazimierz

P. S. Właściwie to już nie jestem sceptykiem. A poza tym zapomniałem Ci w odpowiednim miejscu powiedzieć, że zabawnie zachował się w czasie dyskusji któryś z licealistów. Gdy zainterpelowano o wyjaśnienie, dlaczego w deklaracji ideowej Wici zamienia się etykę chrześcijańską na moralność społeczną zerwał się z krzesła i tak „wytłumaczył": — Co tam o tym gadać. Zrozumcie, że jak na wsi będą betonowe chodniki i elektryczne lampy przed każdym domem, to i chrześcijańskiej etyce wygodniej będzie po wsi chodzić.

K.

Piotr Chmura

W SPRAWIE PUBLICYSTYKI

I.

Mam przed sobą około 200 odpowiedzi uczestników Korespondencyjnych Kursów Spółdzielczych. Skądże oni piszą? Z miasteczek i wsi. Większość pochodzenia chłopskiego, część z drobnomieszczaństwa prowincjonalnego. — Wiek od 17 do 45 lat. Przeważa grupa (lata) 25 — 35. Wykształcenie różne: szkoła powszechna, parę klas gimnazjum, szkoły rolniczej, pełna matura. Trochę tu nauczycieli, trochę uczniów z wiciowych kursów, pracujących zarobkowo, najwięcej pracowników spółdzielczych, sklepowych kierowników terenowych i instruktorów. Większość pozakładała już rodziny, są dzieci, ustalone od lat otoczenie sąsiedzkie i środowisko lokalne, a przecież oglądam poprzez tę ankietę ludzi wcale jeszcze nie „gotowych", „nie skończonych", nie ustalonych. To są ci, którzy walczą o awans społeczny przez dokształcenie, przez specjalizację. Każde koło składa się z 10 uczestników. Odpowiedzi, jakie otrzymałem, wyrażają opinię lokalnego zespołu. Jest ich zatem 2.000.

Ankietę przesłaliśmy wraz z tygodnikiem „Wieś". Czy pismo nasze znajduje u nich zainteresowanie? W 90 proc. odpowiedzi — tak. Dlaczego? Lapidarnie dałoby się odpowiedzieć słowami jednego z uczestników: „bo podwyższa stopień wiedzy z historii, gospodarki, kultury i świadomości społecznej". Pytaliśmy o ich zainteresowania literaturą, w jakim idą kierunku, ku jakim rodzajom literackim? — I tu spotkała nas niespodzianka, około 80 proc. odpowiedzi świadomie i mocno akcentuje — publicystykę...

II.

W dyskusji o literaturze współczesnej w roku ubiegłym był moment kiedy zestawiono publicystykę z powieścią. Zrobił to Kott. Zrobił więcej, publicystyce przypisał wyższe i trwalsze osiągnięcia. Ale artykuł zakończył wyznaniem, że sam najbardziej gustuje w powieści, jako rodzaju literackim. Dyskusja została spowrotem zwężona do schematu: literatura i publicystyka. Raz jeszcze wyparto się takiego rozumienia literatury, jakie ma tradycję tak we Francji, jak i w Rosji, gdzie do klasyków należą w niemałej ilości —publicyści.

Czy nie należałoby u nas już zleźć z konika: „literatura (a mydło nie?) wyraża i daje kulturę", ergo, przemiany społeczne winny odzwierciedlić: poezja i proza. Zgoda, ale kiedy? W okresie przełomu? Najtrudniej to wmówić ludziom, którzy się właśnie przemieniają, którzy biorą udział w przełomie. Oni stoją wobec dziś i jutra. A dziś wygląda dla nich tak: jeśli są, jak ci z ankiety, np. spółdzielcami, jeden lustratorem, drugi sklepowym, trzeci kierownikiem spółdzielni gminnej, to proszę, przejrzyjmy ich drogi. Instruktor napyskuje się na wsi o potrzebie koła ZSCh, przekona do związku branżowego, dzieje się to na pierwszym planie sceny, na dalszym jest kościół, szkoła 3—4-klasowa, brak dróg, przedsiębiorstw przetwórczych, drobna gospodarka, źle uzbrojona technicznie, stare, zacofane nawyki pracy, tradycja więzi parafialnej itd. itd. Na tej scenie od lat tkwi sklepowy, obciążony lokalnym układem społeczno - gospodarczym. W ilu punktach musi być z nim zgodny i reprodukować go? Co on uczynił nowego? Męczy się na Korespondencyjnym Kursie Spółdzielczym. To jest w tej chwili ten drobny cios zadany tradycji sąsiedzkiej i zastanemu. Kierownik Spółdzielni, ten też ma niewesoły żywot, chłopi klną: za mało nawozów sztucznych, za mało tekstyliów, skóry, pługi nie dobre, maszyny widzą się im za drogie.

Podyskutujcie z nim o powieści. Wyłóżcie teorię „konstrukcji losu ludzkiego", wypełnionej treściami społeczno - historycznymi. Kiedy zrozumie, odpowie wam. Powieść o dawnych ludziach, z dawnymi nawykami i formami życia osobistego można jeszcze, aż hej, napisać. Ale o nowych, jak? Przecież to, co od nowego ustroju idzie tu w teren, przesącza się tak wąziutkimi strumykami, że jeszcze nie może modelować bohatera powieści nowych czasów. Ten kierownik, we własnym przekonaniu, nie obywa się bez literatury. Wprost przeciwnie. Tylko, aby on sam mógł z przekonaniem spółdzielnię rozkręcać, odwołuje się wiecie do czego? Do sum globalnych produkcji przemysłu. Pyta o stopień jej wzrostu, oblicza ile to dochodu społecznego, zagrabionego przed wojną przez kapitalistów, lokuje się teraz jako inwestycje narodowe, w/g jakiej hierarchii, co znowuż ona i w jakim czasie gwarantuje? I chce, owszem, aby te dane uformować w języku tak, aby wzruszały, przekonywały i budziły wiarę w przyszłość, zachęcały na dziś do aktywności. Taką literaturą on wojuje z chłopami. Taką im wpaja. Do takiej wychowuje. Chłopi uczą się u niego rozumieć „gospodarkę planową" państwa, w kołach partyjnych—przemian ustrojowych. Im sprawa dotyczy szerszego zakresu, tym jest bardziej jasna i uchwytna, im węższego — bardziej się rozpływa w tym, co było i jest na miejscu. Myślowo ogarniają w grubych zarysach, ale poprawnie sytuację światową i wewnętrzną Polski. I ta „literatura" znaczy dla nich wiele, ale jako członkowie Spółdzielni Samopomocowej na zacofanej technicznie i kulturalnie wsi są u początku przemian, których dopiero rezultatem będzie nowy w każdym szczególe los człowieka. Zdają sobie sprawę, że rozpoczynając przemiany, podejmują je wtedy, kiedy sami jeszcze teraz swym osobistym stylem życia należą do przeszłości w 90 proc.

Elementarz historii

NAKŁADEM Spółdzielni Wydawniczej „Czytelnik" ukazał się w ubiegłym roku cykl broszur popularno-naukowych pod nazwą „Wielkie ośrodki najstarszej kultury". Z cyklu tego zasługuje na specjalną uwagę pięć zeszytów, poświęconych najbardziej charakterystycznym środowiskom kulturotwórczym bliższego i dalszego Wschodu. I w tym znajduje się: M. H. Serejskiego „Bizancjum" (zesz. VIII), E. Słuszkiewicza „Indie Starożytne" (zesz. XI), J. Chmielewskiego „Chiny przedwczorajsze i wczorajsze" (zesz. XII), B. Baranowskiego „Arabowie i państwo arabskie" (zesz. XIII) oraz tegoż autora „Najazdy ludów stepowych" (zesz. XIV).

Przydatność tych opracowań jest obecnie wyjątkowo wielka, zwłaszcza dla młodzieży kształcącej się w uczelniach i poza uczelniami. Jak dotąd bowiem wiedza o Wschodzie azjatyckim pochodziła w społeczeństwie polskim niejako z drugiej ręki i była zawsze raczej skąpa. Polegała też ona nie tyle na znajomości wydarzeń i aktorów historii, ile na przyswojonym u nas od dawna uprzedzeniu historiozoficznym o rzekomej podrzędności kultur wschodnich w porównaniu z kulturą Europy i to zwłaszcza jej zachodniej części.

Pominąwszy już okoliczność, że ocena rzeczy odległych oraz innych niż nasze, wynika z wulgarnego rozumienia dziejów lub stanowi rezultat takiej czy innej inspiracji, trzeba jeszcze pamiętać, iż nauka tzw. zachodnia daleka jest od pomniejszania roli Wschodu w ogólnym rozwoju kultury. Brak powszechniejszego w Polsce zainteresowania kulturą orientalną jest symptomatyczny i wynika po prostu z zadawnionej u nas legendy o naszym kraju jako przedmurzu chrześcijaństwa.

Historia, jeżeli nie jest zawodem, a tylko amatorskim zainteresowaniem, nie obowiązuje do zgłębienia zagadnień. Wszędzie też razi partactwo na skutek przesadnego dyletantyzmu, ale nie w zakresie sądów historyka-amatora i związanych z tym uogólnień.

Trzeba przeto w podobnych momentach naprawdę dużego wykształcenia, aby stawiać sobie takie np. zagadnienia, jak: co w polskiej kulturze nosi znamiona bizantyńskie, dlaczego Arabowie nie znali u siebie instytucji niewoli innej niż wojenna, co było istotną przyczyną najazdów na Polskę, dlaczego Chiny wykazywały szerokie wpływy kulturalne i polityczne, a Indie nie itd. itd.

Pożytek podobnej lektury, co omawiany cykl wydawniczy „Czytelnika", będzie oczywisty i owocny. Pod jej wpływem pięknoduchy inteligent straci nieco szacunku do swojej ogólnej wiedzy o dziejach. Chłop i robotnik, o ile czytanie jest dlań przyjemnością, skonkretyzują swą często oderwaną od czasu i miejsca znajomość historycznych wydarzeń. Student, uczeń i samouk sięgnie z kolei po książkę trudniejszą — naukową. Można się odważyć na twierdzenie, że zainteresowania naukowe wyrosłe nie na podłożu początkowego czytelnictwa prac popularnych, a jedynie oparte na podziwie dla uczoności, noszą w sobie cechy klasowego snobizmu obcego tęsknocie za prawdą osiągalną przez naukę.

Redakcja wydawnictwa stworzyła rzecz nową, odmienną od książek popularno-naukowych, wydawanych przed wojną przez dobrze prosperujące spółki wydawnicze. Znane były wówczas różne cykle naukowe (np. biblioteka „Wiedzy"), określane ironicznie z powodu okazałej szaty zewnętrznej jako „biblioteki posagowe", niedostępne samoukowi, robotnikowi albo chłopom.

Jerzy Falenciak

Książki nadesłane do Redakcji

KSIĄŻKI NADESŁANE DO REDAKCJI
WYDAWNICTWO „CZYTELNIK":

	Stron
J. I. Kraszewski — Pamiętnik Mroczka	64
Albert Maltz — Te trzy dni. I część	32
Zofia Nałkowska — Granica	295
Inż. H. Sacharewicz i Inż. J. Zerebcow — Zasady radiotechniki	506
Maria Dąbrowska — Noce i Dni, tom IV	463
Irena Krzywicka — Dzieci wśród nocy	180
Stanisław Gołąb — Zarys matematyki wyższej	218
J. Siergiejew — Niezwykłe zjawiska niebieskie	30
Prof. B. Woroncow — Weljaminow — Czy był początek i czy będzie koniec świata	30
Z. Kosenko — Sen i marzenia senne	29
Prof. B. Woroncow — Weljaminow — Czy jest życie na planetach	31
J. Siergiejew — Nauka a zabobon	32
Aleksander Fredro — Nocleg w Apeninach	40
Prof. Michał Świerzyński — Jasełka Boże Narodzenie	65

WYDAWNICTWO LUDOWE:

Tadeusz Rek — Ruch ludowy w Polsce tom I	215
— „ — — „ — tom II	212
— „ — — „ — tom III	200
Józef Gójski — Strajki chłopskie	160
Faustyn Frysz i Władysław Kurkiewicz — Wojna czy pokój	86
Leon Sobociński — Za politykę	56
Józef Nikodem Kłosowski — Serce w lipowym drewnie	114
Prof. N. Siemionow — Tajemnica zapalania i wybuchu	37
Mgr. Janusz Pytlak — Uczmy się ekonomii	64
Prof. W. G. Bogorow — Podwodny świat	50

WYDAWNICTWO „E. KUTHANA"

Herman Melville — Bestia Morska	261
Jack London — Opowieści mórz południowych	212

NAKŁADEM TOWARZYSTWA PRZYJACIÓŁ NAUKI I SZTUKI W RZESZOWIE:

Ustawa dla wsi Swilczy i Woliczki z roku ok. 1628	17

KRAKÓW — CENTRALNY INSTYTUT KULTURY:

Sztuka ludowa w Polsce	95

SPÓŁDZIELNIA ŚWIATOWID:

Hanna Puczyńska — Wentlandtowa — Książka w zabawie i pracy	95

F A K T Y I Z D A N I A

Kultura z mendla

Byłem kiedyś uczestnikiem na pewnej Komisji Oświatowej, gdzie temperatura dyskusji na tyle wzrosła, a wraz z nią apetyty, że debata zamieniła się w swojego rodzaju licytację. Dlaczego żądamy 8-letniej szkoły powszechnej? I to mało — żądajmy 12-letniej, niech syn chłopski nie będzie upośledzony wobec dzieci miasta, które mają na miejscu i powszechniaka i gimnazjum. Próbowałem studzić Farysów. Proponowałem mianowicie, aby zażądali normalnego uniwersytetu w każdej gminie. Ta propozycja trochę podziałała. Towarzystwo wróciło do przytomności. Rozumowano bowiem dotąd w/g takiego schematu. Po 1) mieć to, co myślowo można uznać za najlepsze. Rzeczywiście najlepszą rzeczą byłby uniwersytet w gminie. Po 2) osiągnąć w tym rozumowaniu znaczyło — zażądać od państwa. A państwo to niby wielki bankier, który na wszystko ma, tylko psiakrew, bez mocnego żądania nie da.

Powszechna oświata, wysoka oświata — to jest koncepcja państwa ludowego. Koncepcja zatem narodu i jego władz ustrojowych. W okresie stawania się ludowej demokracji czynnik postępowy tylko w części rozporządza tą częścią dochodu społecznego, która winna spełniać funkcje społecznych instytucji. Oznacza to trzy rzeczy: 1) że suma tego dochodu inwestycyjnego jest niepomiernie mniejsza w stosunku do potrzeb ustrojowo uznanych za celowe. 2) Że nowe sposoby wzmożenia produkcji i rozdziału dochodu społecznego będą powiększać budżet inwestycyjny. 3) Że w okresie przejściowym konieczny jest wkład społeczny, który dopełnia w realizacji plan państwowy.

Przykład. Tam, gdzie wieś zbuduje szkołę, sieć państwowych szkół powiększy się i wypełni się nowym ogniwem plan oświatowy państwa ludowego. Takie rozumowanie nie jest niestety jeszcze powszechne. Mam w pamięci setki pytań, po opublikowaniu przez „Wieś" danych dotyczących ilości młodzieży chłopsko robotniczej, przyjętej na uniwersytety. W roku 1946 — 11%, w roku 1947 — 38%. No to od czego mamy nowy ustrój — pytano — jeśli tylko tyle. Ale ten nowy ustrój, to nie władza tylko, to całe społeczeństwo z jego po 1) dotychczasowym dochodem społecznym — małym — i jego klasowym nierównym rozłożeniem, po 2) z jego brakiem (dotychczasowym) szkół na wsi, po 3) z jego nieprzygotowaniem młodzieży na wielką skalę w klasie robotniczej i chłopskiej do osiągnięcia stopnia uniwersyteckiego.

Z tych trzech (chociażby) punktów wynikały takie konsekwencje, 1) za mało (doraźnie) burs i stypendiów, 2) tradycja wyższej uczelni w środowisku mieszczańskim i inteligenckim, 3) mniejszy procent kandydatów ze wsi z robotniczych rodzin.

Powiększenie kadr młodzieży (robotniczej i chłopskiej), któreby mogły dotrzeć do wyższych uczelni i mogły mieć materialne zabezpieczenie wraca jako zagadnienie do rozwiązania w nie małym stopniu w teren, a samo społeczeństwo i na jego dodatkową społeczną inicjatywę czeka.

Żądania wydania ustawy biblioteczenj (biblioteka w każdej gminie) wybuchają często z podobnie nieprzemyślanego przeświadczenia. Ustawa będzie się mieściła w granicach państwowej dystrybucji kapitału inwestycyjnego. Jego wielkość znamy z preliminarza budżetu. Ale nie znamy wielkości kapitału świadczeń społecznych, do jakich są zdolne masy narodowe. Wskazując na hierarchię tych świadczeń, na ich wagę społeczną, a w konsekwencji dla każdego człowieka — możemy ten kapitał społecznej, spontanicznej dobudowy nowego ustroju powiększać.

Upowszechnienie książki i czytelnictwa na wsi to sprawa, która musi tam właśnie, na wsi, **być chciana i tam się zacząć.** Chłopi czescy z okolic Pardubic wyszli z taką inicjatywą. Postanowili w tym roku przeznaczyć po 1 snopku od każdego mendla na fundusz kultury. Ten fundusz obrócony zostanie na spółdzielnie czytelnictwa: czytelnia, teatr, świetlica. Jeszcze w tym roku złożą 15000 G zboża. Na nasze przerachowując gmina zgromadzi 3 mil. zł. Fundusz ten nosi imię Macieja Chwojka, który w r. 1775 powiódł chłopów do buntu i walki z panami w tej okolicy. Zginęło wówczas wielu chłopów, ale ich bunt był wkładem krwi i poświęcenia się ówczesnej generacji chłopskiej dla dalszych pokoleń. Chłopi z pod Pardubic tworzą dziś fundusz M. Chwojka — bezkrwawy fundusz poświęcenia dla nowych, następnych pokoleń.

W akcji upowszchnienie czytelnictwa należy wziąć ten przykład pod uwagę. Po 1) dlatego, że mówi on o konieczności inicjatywy miejscowej, społecznej chłopów, po 2) że wykorzystane tu muszą być i lokalne tradycje społecznych prac, ruchów i instytucyj przez chłopów w przyszłości podejmowane.

P. Ch.

Mamy papieża

Znany jest powszechnie list papieża Piusa XII do biskupów niemieckich, ogłoszony w **„Petrusblatt"**, gazecie kościelnej dla biskupstwa berlińskiego Nr 16, z dnia 18. 4. 1948 r., list, w którym głowa Kościoła katolickiego lekkim sercem kwituje wszystko, co „wydarzyło się (ta bezosobowa forma doskonale odpowiada niemieckiemu poczuciu odpowiedzialności za popełnione zbrodnie) w czasie lat wojny na rozległych obszarach od Wisły do Wołgi", ubolewa za to nad nędzą i wyniszczeniem dzisiejszych Niemiec, „które jeszcze jedno pokolenie temu były kwitnącym, pełnym tężyzny, bogatym krajem przemysłowym".

Czy w papieskich słowach o „koniecznościach życiowych ludu niemieckiego" i i Wiśle, jako o granicy, od której dopiero zaczęły się bezprawia niemieckie nie ma aprobaty dla odwiecznych niemieckich marzeń o Lebensraumie i roszczeń pokolenia poprzedniej jeszcze wojny do ziem leżących na zachód od Wisły? A może dla papieża jeszcze dalej na wschód leżą granice narodu niemieckiego, skoro wymienia aż 12 milionów biednych Niemców „pozbawionych ojczyzny"?

Na te pytanie mgłby dokładnie i autorytatywnie odpowiedzieć polskim katolikom zwłaszcza Ziem Odzyskanych, Śląska, Pomorza i Poznańskiego polski episkopat. Niestety! mimo publicznych zapytań najpoważniejszych instytucji w Polsce i prasy różnych odcieni nie wypowiedział się on w tej przykrej sprawie ni słowem. Jak to mówią: nabrał wody w usta, choć byłoby przecie dość ciekawe dlaczego to papież uznał za stosowne obecnie skierować swój krzepiący list do biskupów niemieckich skąpiąc słów pokrzepienia więzionym i mordowanym biskupom polskim, gdy hitleryzm „ burzył ewangelię i rzucał pożar pod krzyż".

A może biskupi nasi są wzruszeni słowami papieża, który pisze:

„jest wspólnym obowiązkiem wszystkich krajów i ludów, które mają jeszcze możność wspomagania innych... nawet w tych wypadkach, jeśli w latach wojny doznały one ze strony niemieckiej cierpień najcięższych i najbardziej okrutnych... okazać się na tyle wielkodusznymi, by zapomnieć o przeszłości i zarówno wam (Niemcom, przypisek red.), jako też całej Europie i ludzkości dać nadzieję na lepsze jutro pod znakiem miłości".

— I wobec tego doczekamy się raczej zorganizowanej za pośrednictwem Caritasu i organizacji kościelnych zbiórki jaj, masła i zboża na biedne i zniszczone Niemcy, których przemysł należy odbudować i siły przywrócić, by miast w umartwieniu pokutować — mogły w następnym pokoleniu ziścić swe pełne tężyzny katolickie marzenia o podboju Polski. Narazie do Wisły...

P. M.

„Młoda wieś"

Wprawdzie nazwa ilustrowanego czasopisma Powszechnej Organizacji „Służba Polsce" („Młoda Wieś") budzi niezbyt miłe reminiscencje, ale przecież nie nazwa, a treść świadczy o piśmie. W treści, poza „Rozkazem specjalnym nr 1 K-mdta Głównego „Służby Polsce", dowiadujemy się o życiu i pracach Organizacji na poszczególnych odcinkach terenowych, spotykamy ocenę święta 1-go maja i święta ludowego, obrazki z życia młodzieży bułgarskiej, z Kursu Łączności „Służby Polsce" (szkolenie teletypistek), artykuł o elektryczności, jako „tajemniczej sile śpieszącej z pomocą człowiekowi" i w związku z tym artykuł „Chcesz zostać elektrotechnikiem?" W dziale „Echa ze wsi" spotykamy głosy młodzieży. O czym? Oto tytuły ilustrujące jej zainteresowania: Nie jesteśmy gorsi od młodzieży jugosłowiańskiej", „Zakładamy cegielnię", „Nie chcemy takich przodowników", „Wici własnymi siłami wybudowała przystanek kolejowy". Następnie czytamy fragment prozy Lubickiego przedstawiający proces przemian w jego rodzinnej wsi, później interesujące recenzje książek „O człowieku, który się kulom nie kłaniał" — Janiny Broniewskiej, „Wykłady popularne z ekonomii politycznej" J. Tepichta i „Poradnik dla przodowników zdrowia" — praca zbiorowa. Porównujemy plany zagród czeskich i polskich w projekcie prof. Piaścika, czytamy wiadomości sportowe, informacje o szkołach lotniczych oraz humor i wiersze.

Forma żywa. Zdjęć i rysunków blisko 50. Stron 20 z dodatkiem „Dobry rolnik".

Jakie wnioski? Proste.

Młodzież polska, a szczególnie zapóźniona w rozwoju młodzież wiejska, staje na nowej drodze. Charakter tej drogi? Odbudowa Polski — wychowanie wspólno-jednolitonarodowe, zdobywanie zawodowej wiedzy, krytyczna ocena faktów społecznych, czytelnictwo, sport i poznawanie świata przez wycieczki, radio, pogadanki, książkę. Tym działaniem dokonuje się i żywiołowy proces zmiany **grup lokalnych na społeczeństwo narodowe.** Tworzy się jedność kulturowa narodu. I chociaż w kościołach katolickich słyszymy desperackie listy arcybiskupie przeciwko jednej organizacji młodzieży demokratycznej i przeciwko „Służbie Polsce", to chyba fakty takie posłużą w tym procesie jako zawiadomienia o aktualnych sprawach młodzieży w tych wsiach, do których jeszcze „Młoda Wieś", „Wici", „Wiciowa Wolna Gromada" „Walka Młodych" i inne podobne pisma jeszcze nie dotarły. „Zło" w ustach plebanów zostanie podane do wiadomości, tylko czy młodzież i starsza wieś uzna je za „zło"?

Pomagajcie nam, pasterze, pomagającie! A przed tym poczytajcie „Młodą wieś", a przekonacie się, że nie warto rzucać wam kłód pod nogi młodzieży, bo ona się nie potknie, na pewno już nie przewróci.

D. G.

Wystawa wrocławska

O Targach Poznańskich literaci nie pisali*). To jeszcze nie byłoby najgorsze. Wystawy nie oglądali, tym samym nie zrozumieli ani jej źródeł ani jej handlowo-produkcyjnych perspektyw. Jest to zjawisko nie odosobnione. Zagadnienia gospodarcze, w ich zakresie np. problematyka wsi, jako, jak dotąd w opinii inteligencji redukująca się właśnie do spraw pracy rolniczej — pozostaje poza obrębem jej myślenia. Zagadnienia te nie stanowią zatem dla inteliencji wyposażenia i podbudowy do zagadnień węziej humanistycznych.

A tymczasem... na ogólnokrajowym Zjeździe Kultury w Czechosłowacji premier Gotwald tak witał czołowych naukowców literatów i oświatowców: „Waszemu Zjazdowi przypisujemy nie mniejsze znaczenie niż odbytym Zjazdom Związków Zawodowych Robotników i Związku Rolników". To jest zestawienie, to są właściwe proporcje! Dlatego tam urządzono międzynarodową Wystawę Rolniczą licząc na 2 miliony zwiedzających, na pół miliona gości zagranicznych. Więc tam dopiero tysiąc naszych odpowiedzialnych działaczy miało zrozumieć wagę rolnictwa jako problemu narodowego, dopiero tam ośmieleni będą oni tu, w kraju ściągać humanistów z obłoków do wiązania kultury (i jej upowszechniania) z realnymi społeczno-produkcyjnymi warunkami wsi polskiej?

Obecnie stoimy przed nową wielką imprezą. Za miesiąc będzie otwarta Wystawa Wrocławska. Sądzimy, że nie należy jej tylko traktować jako demonstracji wobec niechętnej nam Europy Zachodniej, demonstracji pokazującej nasze wysiłki gospodarcze na Ziemiach Zachodnich za ostatnie trzy lata.

Wystawa ta będzie miała swój duży walor wychowawczy, pogłębi ona świadomość w społeczeństwie, że osiągnięcia, jakie na Ziemiach Zachodnich uzyskaliśmy, możliwe są tylko w nowym ustroju, w którym do budowania podstaw materialnych i wartości kulturalnych wciągnięte zostały podstawowe klasy narodu.

Z tego punktu patrząc na sprawę, powinniśmy Wystawę Wrocławską potraktować jako nowy bodziec i dla naszego świata literackiego. Zjazd Literatów we Wrocławiu w r. ub. wykazał teoretyczną zgodność postulatów twórców kultury z postulatami świata pracy. Robotnik i Rolnik na Ziemiach Zachodnich pokaże nam wkrótce swoje wyniki. Czym poszczycą się na Wystawie Wrocławskiej nasi pisarze? Niech się jej co namniej przyjrzą. Tedy również i to bardzo wiedzie droga do odkryć formalnych w literaturze. **M. K**

*) wyjątek: Wiesław Jażdżyński w r. ub. we „Wsi" i Anna Kamieńska „Wieś" Nr. 19/20 br.

Entuzjazm młodzieży

Jesteśmy w okresie matur, w przededniu przyjęcia nowego rocznika młodzieży uniwersyteckiej. Ciekawi nas jej przygotowanie naukowe i dojrzałość do ustroju. Ale z niczego — nic. Czy dajemy jej tyle bodźców, ile od niej potem będziemy wymagać? Jeden z maturzystów postawił mi takie pytanie: „Oto **Syzyfowe Prace** Żeromskiego, paczka z Radkiem i Borowiczem przegryza Bückla, Drappera i Darwina. Lektura więcej, niż nieobowiązkowa. Ale ona dawała tej generacji perspektywy — i naukowe i tzw. „pracy organicznej". Więc widzi pan, dwie tu są rzeczy konieczne: 1) ambicja młodzieży do wychodzenia **poza program** (co już jest dojrzałości społecznej) i 2) istnienie odpowiednio dużej ilości bodźców intelektualnych — krótko mówiąc, **entuzjazmującej lektury.** Otóż pozytywizm szalał w robocie tłumaczeń popularyzacji. Czy u nas teraz czyni się podobnie?" Mogłem odpowiedzieć, że tak, ale z zastrzeżeniami: w pismach literackich i naukowych wybuchają u nas race wspaniałych studiów i artykułów. Miesiąc następny, dwa topi je w powodzi mnóstwa nowej pisaniny. Trzeba tymi odkryciami gospodarować rozsądnie. Kującym uczniom mówić: pogłęb historię, pogłęb literaturę i skazywać ich na grube opusy Kleinera czy Askenazego. A przecież artykuły Kotta o pozytywiźmie, złożone w książkę, to lektura, do jakiej młodzież się przyczepi, jaka ją rozentuzjazmuje do poznania historii, do potrzeby jej zrozumienia? — A studia Króla o kapitaliźmie na wsi popańszczyźnianej nie będą dla niej rewelacją? Nie zrównoważą, nie zniszczą legend, płynących z tysiąca źródeł: „Ludu", „Wędrowca" Witkiewicza, narodowej demokracji, ziemiańskiej powieści, agrarystycznej izolacji itd.? A dwa studia Werfla: o Dembowskim i Wiośnie Ludu nie pomogą uchwycić nowej konstrukcji badań historii? Czy mało emocji przeżyje, stając na tym historycznym rozstaju (1848 r.), skąd drogowskazy ukazują perspektywę więcej niż stu lat? Nie doceniamy tej literatury, która jest naukową w swych podstawach metodologicznych i materiałach, a ma równocześnie ładunek **artystyczny, emocjonalny.** Werfel, Król, Kott (pół wieku XIX), to wiedza i przeżycia dla młodzieży!

A z literatury — szkice Stawara o Sienkiewiczu? Czy nie będą często dla młodzieży wydarzeniem przełomowym. A szkice o literaturze i przemianach kulturalno-społecznych w Rosji (np. Gomolickiego, Siekierskiej, Pollaka, Chróścielewskiego)?

A dwa studia profesora Chałasińskiego o socjologicznych podstawach wychowania i o socjalistycznym wychowaniu, to nie przewrót w głowach młodzieży, przewrót w stosunku do wszystkich pośredniowiecznych i liberalnych zasad pedagogicznych, jakimi nasyca je środowisko rodzinne, opinia starszego otoczenia, ba, jeszcze i sama szkoła? Książka prof. Schaffa: „Wstęp do teorii marksizmu" nie leży nawet na półkach bibliotek ciała pedagogicznego w gimnazjach. Jakżeż my więc chcemy, aby kształcąca się młodzież wnikała w nowy ustrój? **Wnikanie** — ta pierwsza forma poznania — ma swoje drogi i rygory. Wymienione tu przykładowo, a nie wydrukowane dotąd książki — spełniają te specyficzne warunki **zaangażowania młodzieży** w nowy ustrój. Biedzimy się nad rozpowszechnieniem kultury w masach, ale nawet na piętrze, tak ważnym (o ile nie łatwiejszym) młodzieży studiującej, młodzieży w konsekwencji przodowniczej w budowaniu Polski Ludowej — nie umiemy upowszechnić entuzjazmu, który rozjaśnia mroki, który mobilizuje do poświęceń, jakich oczekuje i wymaga odrodzony naród.

P. Ch.

Święta rodzina

Liczba nagród literackich zaczyna w Polsce rosnąć. Jest nagroda „Odrodzenia", „Odry", Kuthana, nagrody wojewódzkie niektórych miast. Niedawno wychodząc widocznie z założenia, że każde pismo powinno przyznawać jakąś nagrodę, „Dziś i Jutro" ufundowało nagrodę im. W. Pietrzaka. Miano przyznawać ją pisarzom katolickim. A więc siłą rzeczy utworzono jakieś dziwaczne kryterium ideologiczne. Znaczna część dzieł została odrzucona już od razu. Tylko pisarz o światopoglądzie katolickim, tylko pisarz reprezentujący świadomie postawę katolicką mógł otrzymać nagrodę. Mówiąc jaśniej utworzono ją „dla swoich". Wypadałoby więc teraz z kolei ufundować odpowiednie nagrody dla pisarzy wyznania mojżeszowego, dla pisarzy kalwinów, pisarzy luteranów, pisarzy — mahometanów, baptystów itd. Liczne religie są na tym świecie! Nagrodę przyznano konsekwentnie. Owszem tu jury funkcjonowały z niewielkimi zastrzeżeniami niezawodnie, ale jak bardzo ograniczone zostało kryterium wyboru.

Wyróżnić miano pisarza o pewnej ściśle sprecyzowanej ideologii. Mniejsza o to kogo wyróżniono. Czy Gołubiewa, czy Malewską, czy Jasienicę, czy ks. Piwowarczyka? Sens nagrody pozostał ten sam. Wyróżniono „kolegę" w ideologii, pisarza nie jakiegoś języka, narodu, a członka pewnej religii, wziętego spośród tejże literatury. To ma jedną zupełnie prostą nazwę, to się nazywa partykularyzm.

Reprezentanci gminy „Świadków Jehowy" w miasteczku Grajdołek mogą przyznać także nagrodę członkowi swojej gminy za działalność literacką. Wynik będzie ten sam. — A skąd sam pomysł? Najzwyczajniej, z czasów „republiki koleżków".

Należy więc przypuszczać, że w przyszłym roku nazwiska nagrodzonych i nagradzających zostaną nadal te same. Zmienią się tylko role. Dzisiejsi laureaci zasiądą w jury, by przyznać nagrodę tym, którzy obdarzyli ich nią w roku bieżącym. W ten sposób można bawić się długo i z obustronnym zadowoleniem, byle Polska pamiętała, że ważniejsza jest święta rodzina literacka, od samych idei, jakich wytworzenia wymaga od tej rodzinki historia. Można długo podtrzymywać złudzenia, że jeżeli są katolicy — pisarze, to jest i literatura katolicka.

F. P.

Redaktor naczelny — **Jan Aleksander Król.**
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, Piotrkowska 133, tel. 100-98.
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOPSKIEJ.
Ceny ogłoszeń: kolumna 60.000 zł; 1/2 kolumny 30.000 zł; 1/4 kolumny 15.000 zł; 1/8 kolumny 8.000 zł;
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, ul. Piotrkowska 133. Telefon 100-98.
Warunki prenumeraty: miesięcznie 60.— zł., kwartalnie 180.— zł. półrocznie 360.— zł. — Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII — 1080.
Odbito w drukarni Sp. Wyd. „Czytelnik" Nr 4 — Łódź, Żwirki 2. D—025616